

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

R o d z i n a

NR 19 (149) ROK IV

WARSZAWA 12. V. 1963

CENA 2 ZŁ





(Sw. Jakuba 1, 17–21)

Najmilsi: Wszelki dar dobry i każda wzniosła łaska z wysoka pochodzi, zstępuje od Ojca światłości, u którego nie masz odmiany ani cienia zmienności. Bo z własnej woli zrodził nas słowem prawdy, abyśmy byli niejako początkiem stworzenia Jego.

Wiecie to, bracia moi najmils! A niech każdy człowiek będzie skory do słuchania, a powolny do mówienia i powolny do gniewu. Bo gniew człowieka nie wypełnia sprawiedliwości Bożej. Dlatego też, odrzuciwszy wszelką nieczystość i nadmiar złości, przyjmujcie z łagodnością słowo w was wszczepione, które może zbawić dusze wasze.



(Sw. Jan 16, 5–14)

Onego czasu: rzekł Jezus uczniom swoim: Idę do Tego, który mię posłał, i nikt z was nie pyta mnie: Dokąd idziesz? Ale, żem to wam powiedział, smutek napelniał serca wasze. Lecz ja prawdę wam mówię: Lepiej dla was, żebym odszedł, bo jeżeli nie odejdę, Pocieszyciel nie przyjdzie do was, a jeżeli odejdę, pošlę Go po was. I gdy On przyjdzie, przekona świat o grzechu, o sprawiedliwości i o sądzie. O grzechu, że nie wierzą we mnie, o sprawiedliwości, bo idę do Ojca i już mnie nie ujrzyecie, i o sądzie, bo książę tego świata już został osądzony. Wiele jeszcze mam wam powiedzieć, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie ów Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy. Bo nie od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszysz, powie, i co ma nadzieść, oznajmi wam. On mnie uwielbi, bo z mego weźmie, a wam oznajmi.

„LEPIEJ DLA WAS, ŻEBYM ODSZEDŁ“

Wyjątek Ewangelii św. Jana, czytany dzisiaj w naszych kościołach, jest dalszym ciągiem mowy pożegnalnej Pana Jezusa wygłoszonej po Ostatniej Wieczery.

Chrystus Pan wypowiada pod adresem apostołów zarzut, wypowiada go nie bez pewnego rodzaju smutku: „Idę do Tego, który mnie posłał, i nikt z was nie pyta mnie: Dokąd idziesz? I rzeczywiście, sami dziwimy się obojętności apostołów. Wprawdzie wieść ta napelniała ich smutkiem, ale pewnie zbyt nie przejęli się. Niewątpliwie sądzili, że Pan Jezus mówi im w przenośni. Lecz Chrystus Pan, czytając ich myśli, dodaje: „ja prawdę wam mówię“ i tłumaczy pożytek Swojego odejścia, a raczej powrotu do Ojca: „Lepiej dla was, żebym odszedł“. Pan Jezus wiedział, że misję Swoją uwieńczy śmiercią krzyżową, po czym zmartwychwstanie i wreszcie wstąpi do nieba. I chociaż śmierć Jezusa Chrystusa sama w sobie miała wartość zbawczą, to jednak Zbawiciel chciał, aby dzieło Jego trwało, umacniało się i rozszerzało. Ta jednak działalność należała do trzeciej osoby Trójcy Świętej, do Ducha Świętego. Chcąc jednak jakoby uprosić Ducha Świętego o przejęcie opieki nad dziełem Chrystusa, trzeba, by Chrystus wrócił do nieba: „jeśli odejdę, pošlę Go do was“. Kiedy zaś Pocieszyciel – Duch Święty przyjdzie, otworzy umysły ludzi i poznają prawdę, w szczególności Duch Święty „przekona świat o grzechu, o sprawiedliwości i o sądzie“. Duch Święty pouczy ludzi o istocie zła, grzechu, o różnicy między dobrem a

złem, o sprawiedliwości i o występkach przeciwnych sprawiedliwości, i o tym, że Chrystus był prawdziwym Mesjaszem, który nie tylko odkupił ludzkość, ale zwyciężył szatana, księcia tego świata. Zwyciężył zwłaszcza przez pokazanie i głoszenie prawdy, przez swoją śmierć i zmartwychwstanie, i wreszcie przez swoje wniebowstąpienie. I cały szereg innych prawd ujawni dopiero Duch Święty, tych prawd, których teraz „znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie ów Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy“.

Pan Jezus przygotowuje już naprzód swoich uczniów na to, że ich opuści, że wróci do nieba. I wyrzuca im, że nie troszczą się „dokąd idzie?“

Apostołowie i pierwsi wyznawcy Chrystusa aż do chwili Zesłania Ducha Świętego w większym lub mniejszym stopniu nawet mimo zmartwychwstania i wniebowstąpienia Pana Jezusa zbyt po ziemsku pojmowali Jego posłannictwo, wszystkie Jego nauki i cuda. Dopiero Duch Święty ukazał im boski splendor zarówno Jezusa Chrystusa, Jego nauk i cudów, jak również dalej żyjące i rozwijające się dzieło Chrystusa, owszem Samego Mistycznego Chrystusa – Kościół Katolicki.

Już niedługo czcić będziemy wielką chwilę wniebowstąpienia Pańskiego, a potem obchodzić uroczyste święto Zesłania Ducha Świętego. Już teraz konsekwentnym życiem chrześcijańskim i gorącym nabożeństwem do Ducha Świętego przygotowujemy się na godne obchodzenie tej uroczystości, aby i na nas sprawdziła się zapowiedź Chrystusa Pana z dzisiejszej ewangelii: „Lecz gdy przyjdzie ów Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy“. Amen.

Myśli religijne

JEDNOŚĆ I WIELOŚĆ

Bóg jest najwyższą jednością, która przejawia się w wielości światów (metagalaktyk, galaktyk i systemów słonecznych), w wielości form, barw, głosów i gatunków w przyrodzie.

Bóg jest wielością, która koncentruje się w jedności.

Z religią rzecz ma się tak samo: płynie ona wieloma prądami do jednego celu – do Stwórcy wszechświata.

Rzecz jednak to niestychanie ważna, aby we wszystkich religiach obecny był Duch Boży, który je jednoczy.

Dziwnie się plecie na tym wielkim świecie. W Kanadzie wybory do parlamentu wygrali liberałowie. Ich przywódcą jest Lester Bowles Pearson, który został premierem. Nazwisko Pearsona do-dychczas związane było z ideą pokoju. W 1957 r. otrzymał on pokojową nagrodę Nobla. Ten 60 lat liczący polityk doszedł do władzy w oparciu o program, który jest zaprzeczeniem jego linii działania ukoronowanej wielką nagrodą. Pearson zwyciężając w wyborach stale szermował programem atomowym, głośno propagował: konieczność wyposażenia armii kanadyjskiej w głowice atomowe, zdalnie kierowane pociski, no i zbliżenie gospodarcze z USA. Amerykanie reprezentują 30 proc. portfela w przemyśle kanadyjskim. Teraz drzwi dla fabrykantów amerykańskich zostaną szerzej otwarte, co nie pozostanie bez wpływu na zwiększenie zależności ekonomicznej Kanady od USA. Zagadnienie konsekwencji politycznych, wynikających z tych faktów jest sprawą otwartą.

Pearson, czyniąc radykalny zwrot w swej postawie stał się naturalnym sojusznikiem sił zimnowojennych. Cały paradoks polega na tym, że przywódca kanadyjskich liberałów odwrócił się od idei pokoju i przeszedł na pozycje handlarzy bronią, handlarzy śmierci. Od pokoju do obozu militarystów wiedzie droga laureata nagrody ufundowanej przez Alfreda Nobla, który skuł olbrzymi kapitał na produkcji wynalazonego przez siebie dynamitu. Ale Nobel odchodząc z tego świata pozostawił fundację, która rokrocznie przyznaje szereg nagród, a mianowicie nagrodę literacką, naukową i również nagrodę za pokojową działalność.

Stanowisko polityczne Pearsona wywoływało szereg nieprzyjemnych dla niego komentarzy w Kanadzie i poza jej granicami. Również i w Polsce, kraju ludzi miłujących pokój przyjęto fakt zwycięstwa wyborczego Pearsona z niechęcią. Niewątpliwie jego działalność zostanie oceniona negatywnie na najbliższej sesji Światowej Rady Pokoju. 450 delegatów z całego świata zjedzie do Warszawy aby tutaj raz jeszcze ogłosić powszechny manifest w obronie zagrożonego pokoju, przeciw zbrojeniom i niebezpiecznym doświadczeniom nuklearnym.

Należy w tym miejscu zrobić krótki przegląd wydarzeń światowych.

● W Laosie wrogowie zasady neutralności tego kraju zamordowali ministra spraw zagranicznych G. Pholseny, którego niedawno gościliśmy w Polsce.

● W Algierii ofiarą zamachu zbrodniczego również był minister spraw zagranicznych M. Chemisti. Zbrodnia ta jest dziełem zagranicznych kół neokolonialistycznych.

● Egipt, Irak i Syria utworzyły Zjednoczoną Republikę Arabską ze stolicą w Kairze. Jest to zwycięstwo polityki p.k. Nassera, który prawdopodobnie zostanie prezydentem tego federalnego państwa.

● W Hiszpanii wbrew protestom opinii światowej został skazany na śmierć Julian Grimau, wybitny działacz komunistyczny. Wyrok wykonano. Całą winą Grimau'a było tylko to, że konsekwentnie i do końca nie godził się z faszystowskim reżimem. Grimau podczas śledztwa był torturowany. Jego męczeństwo wywołało oburzenie wśród wszystkich uczciwych ludzi, którzy bez względu na przekonania wystąpili w obronie życia skazanego przez sąd wojskowy w Madrycie.

● Papież ogłosił encyklikę, w której stwierdza, że rozsądek oraz poczucie sprawiedliwości i humanitaryzmu nakazują wstrzymanie wyścigu zbrojeń.

MODLITWA UFNOŚCI Psalm 24 (25)

Do Ciebie wznoszę duszę moją.
O Panie, mój Boże.

Tobie zaufałem: niech więc nie zaznam zawodu.
I niech nie szydzą ze mnie moi wrogowie.

Nikt nie zazna zawodu, kto zdał się na Ciebie.
Kara zaś tych spotka, którzy w lekkomyślności swojej
stali się niewiernymi Tobie.

Panie, wskaż mi drogi Twoje
I ścieżek Twych mnie naucz.

Prowadź mnie drogą wierności Twojej i pouczaj mnie.
Jesteś bowiem Bogiem i Zbawicielem moim.

Twojej pomocy potrzeba mi co dzień, o Panie.
Odwieczna Twa dobroć i miłosierdzie
niech o mnie pamiętają.

Zapomnij grzechów mej młodości
Z wszelkich wykroczeń moich.
Wedle litości Swej i dobroci postępuj ze mną.

Dobry jest Pan i wierny w swych obietnicach,
dlatego wskazuje drogę błądzącym.

Uległych prowadzi ku sprawiedliwości
I uczy ich postępować drogami swoimi.

We wszystkim Pan jest dobry i wierny względem tych,
którzy strzegą z Nim przymierza
i woli Jego są posłuszni.

Panie, przez wzgląd na Imię Twoje
Przebacz winy moje, są bowiem wielkie.

Kto szczerze pragnie służyć Panu
Temu On wskaże jaką wybrać drogę.

Taki też będzie żył w dostatku,
a potomstwo jego odziedziczy ziemię.

Pan żyje w przyjaźni ze sprawiedliwymi,
daje im poznać swoje tajemnice.

Dlatego oczy moje są zawsze zwrócone ku Panu,
On też uwolni z sidła moje nogi.

Wejrzyj na mnie i ulituj się nade mną,
bom opuszczony jest i biedny bardzo.

Ześlij ulgę udręczonemu sercu memu.
Wybaw mnie z moich utrapień.

Spójrz na nędzę i utrudzenie moje,
I odpuść wszystkie moje grzechy.

Patrz, jak liczni są moi wrogowie
i jak zawzięcie mnie nienawidzą.

Strzeż życia mego i ocal mnie,
Niech nie doznam zawodu żem Tobie zaufał.

ŻYCIE KOŚCIOŁA ZA GRANICĄ



Ks. Biskup Leon Grochowski podczas pobytu w Seminarium.



Klerycy i zespół profesorów w Seminarium imienia Księdza Hieronima Savonaroli w Scranton, Pa. Stoją: Kleryk Marian Nowicki, Diakon Edward Kalata, Subdiakon Robert Ostrowski, Kleryk Edward Meus, Diakon Zygmunt Wojtowicz, Diakon Stanisław Strzałkowski, Subdiakon William Chromey, Kleryk Jerzy Książkiewicz, Subdiakon Wincenty Czérwonka, Kleryk Leonard Kosiński i Kleryk Janusz Niewiadomski. Siedzą: Ks. Felix Pyzowski, Prof. Stanisław Gałązka, Mecenas Ernest Gazda, Ksiądz Biskup Leon Grochowski, Ks. Eugeniusz Przybylski, Ks. Senior Eugeniusz Magyar, i Ks. Antoni Rysz.

15-lecie Ks. Prob. Bolesława Rąka w Irvington, N.J. Duchowieństwo Okręgu N. Y. - N.J. z Pierwszym Ks. Bp Leonem Grochowskim na czele w czasie procesji do kościoła.



Duchowieństwo z Pierwszym Ks. Bp Leonem Grochowskim przed kościołem po nabożeństwie.



Ks. Senior Jozef Jakobsche odbiera przysięgę od Komitetu Gospodarczego Parafii Sw. Piotra i Pawła w Passaic, N. J., wybranego na rok 1963.



▲ Waław Krzeziński, który przez 16 lat z czeu piastował urząd Przewodniczącego Komitetu Gospodarczego Parafii Sw. Piotra i Pawła w Passaic wręca młotek prezowski nowo wybranemu swemu następcy, Henrykowi Czyżewskiemu, w czasie instalacji urzędniów na rok 1963.

▲ Ks. Senior Jakobsche, Proboszcz; Ks. Wikary Frederick Mechowski, Komitet Gospodarczy i urzędniicy wszystkich towarzystw przy Parafii Sw. Piotra i Pawła w Passaic, N. J. na rok 1963, w czasie obiadu instalacyjnego w niedzielę, w sali parafialnej.

S

ablocony, cuchnący korytarz prowadzi do obskurnego pokoiku w którym mieszka ona razem z dwójkiem małych dzieci. Wyrka, stół i pochyłe krzesło — stanowią umeblowanie pokoju. Na stole resztki zakąski i butelka po niedopitej wódce. Niedopałki papierosów, strzępiąca się koldra, dawno niezmywana podłoga... i wysoko prawie pod sufitem małe okienko na świat. Dzieci śpią twarzym snem tylko jej szeroko otwarte oczy niespokojnie patrzą w półmrok oświetlone z lekka poświatą księżycą.

Czym chciała zostać kiedyś gdy była jeszcze malutką? Chodziła wtedy do szkoły z dumną minką uczennicy, w niedziele i święta razem z rodzicami słuchała w kościele Mszy św. prosząc Pana Boga w prostych, dzieciennych słowach, aby mamusi i tatusiowi dał dużo zdrowia, a w swoim kąciuku bawiąc się lalkami marzyła, aby zostać kiedyś fryzjerką i układać coraz to nowsze fryzury jak najpiękniejszej lali. Wojna zniszczyła jej dom i dziecienną marzenia. Ojciec zginął na froncie, a matka?

Otulając troskliwie śpiące dzieci kołderką sięgnęła po papierosa. Z imieniem matki nawiedzały ją mieszane uczucia miłości i przywiązania, to znowu pogardy i obcości. Matka uczyła ją pierwszych słów modlitwy, wysyłała do szkoły i witała zasypując pieścizkami a potem ta sama na pozór, w istocie jakże już zmieniona matka, kiedy nadeszły powojenne trudne dni w ich życiu, kazała jej przynosić do domu pieniądze (bierz skąd chcesz — mawiała), wysyłała po wódkę i w gorszącym otoczeniu uczyła ją obłudy i moralnego cynizmu. Gdy do oczu cisnęły się łzy sprzeciwu, żalu i bezsilności, że ta sama, a

KOBIETA UPADŁA

jakże inna matka z brzydkimi słowami na ustach sięgała po rzemień. — Oduczę cię mazgajstwa. Taka duża panna, a zarobić na siebie nie potrafi. Wstydzilibyś się — gderiała. Nieraz w latach późniejszych starała się sama przed sobą wytłumaczyć postępowanie matki. Załamała się po śmierci ojca, nie posiadała wyuczonego zawodu, przyzwyczajona była do wygodnego, cieplarnianego życia. Wierzyła w Boga ustami a nie sercem więc nie potrafiła w wierze i w ludziach znaleźć oparcia przed pokusą lekkich obyczajów. Największą urazę i wiecznie drążący duszę żal do matki miała za to, że utrudniła jej ukończenie nauki w szkole i wyuczenie się zawodu i także za to, że poznała ją i oswoiła z demoralizacją czyniącą źródło zysków i sens życia. Nie mogła wreszcie tego dłużej znieść i opuściła na zawsze dom nędzy i upodlenia. Zapaliła świeczkę i żeby nie budzić dzieci cicho otworzyła torebkę. Przy wątłym odblasku długo wpatrywała się w zdjęcie. Poznała go na dansingu. Pracowała wtedy jako robotnica fizyczna. Prawił jej najczulsze komplementy, zapewniał o trwałej miłości od pierwszego spojrzenia. Stęsknione za miłością serce szukało oparcia. wyrwało się z uciążliwych pęt samotności ku radości życia. Zaufała mu

i zgodziła się żyć z nim na wiarę. Kiedyś powiedział, że wyjeżdża na delegację i więcej do niej nie wróci. Zostało przy niej trochę gratów, jego zdjęcie z czułą dedykacją i dziecko, które wkrótce miało przyjść na świat. Świadomość popełnionego grzechu, wstyd przed ludźmi, obawa przed trudnościami bytowymi wyzwały myśli, samobójcze. Miała jednak na tyle silnej woli, aby te myśli przezwyciężyć i podporządkować własnemu „ja”. Choć postanowiła żyć, na dnie duszy pozostał osad gorczy i utrapienia. W Boga wierzyła już tylko siłą tradycji i przyzwyczajenia, tak nauczono ją w rzymskim kościele, w dobroć ludzką — przestała wierzyć. Podobnie jak na matkę w trudnym okresie i na nią zaczęła oddziaływać magia pieniądza. Zabrakło silnej woli, ambicji, wiary i nadziei, aby się jej przeciwstawić.

Zdmuchnęła świeczkę i z odruchem złości rzuciła zdjęcie w kąt. Jestem taką jaką jestem — powiedziała w zdenerwowaniu sama do siebie. Mam panięskie dzieci, — uprawiam wolną miłość, szerzę zepsucie obyczajów i zgorzenie? Taką wychowała mnie matka, a resztę nauczyli ludzie. Żal mnie tylko moich maleństw, gdy myślę sobie co z nich w przyszłości wyrośnie.

Marzyłam kiedyś o fryzjerstwie, o szczęściu rodzinnego współżycia i kto mi te marzenia zniszczył i szczęście odebrał? Kto wtrącił do błota i sponiewierał? Żli, amoralni ludzie. Oni są współwinni mego upadku. I kiedyś za to odpowiedzą przed Bogiem razem ze mną. Niebo różowił swit. Po szynach z łoskotem jak co dzień potoczyły się ranne tramwaje. Usnęła.

F. OSZMIANSKI

NADAL WYSOKIE SPOŻYCIE

Pod takim tytułem miesięcznik „Zdrowie i Trzeźwość” z kwietnia br. zamieścił artykuł na pierwszej kolumnie. Z artykułu dowiadujemy się, że w ub. roku sprzedanych zostało 73,9 mln litrów wódek (czystej i gatunkowej) w przeliczeniu na alkohol 100%, co w porównaniu z rokiem np. 1961 jest o 1,7% więcej. Także i wina sprzedano bardzo dużo, bo aż 148,9 mln litrów. Powyższe dane wskazują na to, że spożycie napojów alkoholowych w Polsce utrzymuje się na wysokim poziomie i nie spada. Autor artykułu zwraca uwagę na to, iż picie napojów alkoholowych wśród młodzieży staje się „coraz powszechniejszym obyczajem”.

W artykule m. in. czytamy, że „nie prowadzi się żadnej statystyki wypadków przy pracy spowodowanych stanem nietrzeźwym. Jak wykazały badania tego problemu w środowisku warszawskich budowlanych, alkohol jest częstą przyczyną wypadków, a picie podczas pracy nie należy do rzadkości. Istnieje zatem pilna potrzeba zajęcia się tym zagadnieniem z równą energią, jak wypadkami drogowymi”.

Ludzie dorośli wiedzą, że wódka jest szkodliwa, ale zwykle się mawiać: parę kieliszków nie zaszkodzi. Tak przyzwyczajają się zaczyna. Tylko, że kilka kieliszków

wódki pociąga za sobą dalsze, a te z kolei wpływają na wytworzenie się nalogu.

Nastęstwa pijaństwa są różnorakie. Dotyczą one zdrowia fizycznego, jak i moralnego społeczeństwa. O pierwszych mówi wyczerpująco medycyna i z naukową dokładnością i precyzją wykazuje destrukcyjne działanie alkoholu na organizm. Wódka jest czynnikiem rozbijającym rodzinę, podstawową komórkę społeczeństwa. W rodzinach alkoholików często wybuchają kłótnie i bójki. Dzieci alkoholików żyją w atmosferze stałego lęku i niepokoju.

Od najdawniejszych czasów ludzie wyrabiali rozmaite trunki, napoje oszalamiające itp. W XVIII w. powstają gorzelnie i od tej pory alkohol „zalewa” świat. Od tego „zalewu” nie jest wolna także i Polska. I w Polsce bowiem „obyczaj pijacki” ma „chwalebna” tradycję. Od tych czasów przyjaźń, załatwienie interesów mierzy się kieliszkami wypitej wódki. Nawet opaśli mnisi stali się synonimem opilstwa.

I dlatego weszło to niejako w krew i stało się zwyczajem, że i dzisiaj pije się przy każdej okazji od chrzcina aż do pogrzebu włącznie.

Pijaństwo jest tragedią rodzin, tragedią narodów pod każdą szerokością geograficzną.

Ze strony Kościołów, organizacji społecznych czynione są wysiłki uświadczenia społeczeństwa o zgubnych skutkach nadmiaru spożycia alkoholu. Walka z pijaństwem będzie skuteczna, jeśli całe społeczeństwo nam w tym pomoże.

Ostatnio ukazał się nakładem Wydawnictwa Literatury Religijnej modlitewnik pn. „Ojciec nasz”, który na początku podaje szereg wskazówek, wśród nich także i o trzeźwości. Poniżej odnośny fragment cytujemy. — Niechże on przemówi do Ciebie, Drogi Czytelniku.

„Bądź trzeźwym i unikaj towarzystwa pijaków. Pijaństwo to największy wróg ludzkości i społeczeństwa. Szkodzi ono człowiekowi na duszy i ciele. Alkohol nadmiernie używany osłabia siły człowieka, czyni go niezdolnym do wyteźonej i twórczej pracy, niszczy tak ważne organy wewnętrzne, jak żołądek, serce, nerki i wątrobę. Alkohol to również największy wróg duszy, osłabia czynności rozumu i woli, czyni człowieka niewolnikiem jego namiętności. Pijak nie jest ani dobrym pracownikiem, ani dobrym obywatelem państwa, ani dobrym chrześcijaninem. Pijak zdolny jest do popełnienia każdej złej rzeczy”.

A więc?

CZARNY LĄD



Okrągły pień kapoku, zwalony w poprzek rzeczki, wyglądał całkiem niezachęcająco. Biały jego trzon, wyłuskany z kory, zmoczony niedawno spadłym deszczem, lśnił w blasku księżycy jak wypolerowany.

Zdjąłem pantofle i boszo zacząłem się przesuwac po tym oślizłym „moście”, utrzymując równowagę rozstawionymi ramionami. Dobrnąłem szczęśliwie na jego koniec i światłem latarki wymacałem wąską ścieżynę, wiodącą, poprzez gęsto zbitą masę szerokolistnej wysokiej trawy, do kampu robotniczego, skąd dochodził mnie przytłumiony, głuchy odgłos tam-tamów.

Wspaniała noc księżycowa wygnała wszystkich czarnych z mojego domu: musiałem więc iść sam na kamp, by przypomnieć ludziom, że jeszcze przed świtem mamy ruszać w drogę do Matala, na od dawna planowaną kilkudniową wyprawę myśliwską. Blask latarki załśnił na wilgotnych, długich liściach bananowca: to już ogródki przy kampie.

Jednostajny, rytmiczny odgłos uderzania pałeczek w drewniane instrumenty był coraz wyraźniejszy, blask ogniska przedzierał się poprzez gąszcz.

Wyjrzałem.

Małe, robotnicze chaty, skleczone z trzciny i mułu otaczały w krag nieduży placzyk ubitej, laterytowej ziemi.

Nikły płomień ogniska nie był w stanie osłabić jasnego światła księżycy, który lśnił na palmowych strzechach chałup, na zbitej masie czarnych ciał, nabierających dziwnego fioletowo-granatowego tonu w jego poświacie.

Czarni tańczyli.

Goli, bo tylko wąskie przepaski z rafii skrywały im biodra. Lśniaca, aksamitna skóra mieniła się to odbłaskiem pełni księżycowej, to nabierała czerwonych połysków ogniska.

Tańczyli.

Głuchy jest dźwięk tanecznej orkiestry, podobny do rytmicznego stuknięcia jakiejś pracującej

maszyny; tylko coraz szybszy i szybszy, coraz bardziej nerwowy, wchodzący w krew, zmuszający ją do coraz prędszego pulsowania. Nagie ciała trzęsą się rytmicznie w bezwolnym ruchu. Stwardniałe podeszwy stóp coraz szybciej, coraz prędzej biją w twardą, laterytową ziemię. Biodra zda się nieruchome, tylko tors i ramiona pochylane jednostajnie w tył i naprzód. W tył i naprzód drgają w synkopowy takt tej niby jednostajnej, a tak rwącej nerwy, „drewnianej” melodii.

Jeszcze szybciej, jeszcze szybciej: górna połowa ciała zaczyna w rytmie szybkości ruchów doganiać szaleńczych ruch nóg; to już scalony, jednolity takt i rytm całego ciała.

To już nie taniec. To cała przyroda, cała chuć światła przyobleka formę tego obłąkanego rytmu, tej dzikiej harmonii ruchów.

Tempo tam-tamów wzrastało coraz bardziej, zlewając się w jedną szaleńczą toń podniecających dźwięków. Lecz lśniące potem ciała poruszały się teraz już jakby wolniej, ruch ich stawał się coraz bardziej chwiejny, kołowaty. Nagle muzykanci urwali ten dziki takt, rozedrgane ciała tancerzy zwały się jak podcięte na ziemię i legły w martwym bezruchu.

Głuchy, monotony głos bębna obitego skórą bawoła wyrwał mnie z błęgiego snu. Aha, to Frumu budzi ludzi z kampu i daje światu znać, że za chwilę wstanie słońce zza Świętej Góry i zacznie się dzień.

Popijając sok wyciśnięty z pomarańczy, który Frumu postawił mi wczoraj wieczór w lodówce, wyszedłem na ganek okalający dom wokół.

Spojrzałem w stronę Świętej Góry, której granatowo-fioletowe kontury zaczęły się rysować powoli na tle czarnej nocy. Z chwili na chwilę, z sekundy na sekundę stawały się one coraz wyraźniejsze, coraz jaśniejsze i naraz cała Święta Góra wyloniła się przede mną w całej swej krasie i przepychu. A powstające gdzieś za wsią słońce, które miało się dopiero za chwilę ukazać, zdarło szatę nocy i rozjaśniło swym odbłaskiem wszystkie otaczające nas wzgórze i wycięte tereny farmy.

Przed domem zaczęli się już gromadzić czarni, którzy mieli wyruszyć ze mną do Matala, gdzie chciałem rozbić parodniowy oboz myśliwski. Frumu rozdzielał pomiędzy nich pakunki

z ekwipunkiem obcowym, bronią i żywnością. Musiałem sam jednak dopilnować, by wszystko było dobrze zapakowane, by o niczym nie zapomniano.

Matala, położona daleko od drogi prowadzącej w głąb kraju i od ludzkich osiedli, miała podobno bardzo żyzną glebę, lecz tak już wyeksploatowaną przez dzikie uprawy, że cały szczepek porzucił parę lat temu te tereny i przeniósł się w inne okolice.

Była więc nadzieja, że na terenach opuszczonych, na których nie wyrósł jeszcze wysokopienny las, znajdzie się sporo zwierzyny, na którą będzie można zapolować nawet i w dzień.

Ludzi z bagażem wysłałem główną drogą, sam zaś chciałem oćcisć krótszą, nieuczęszczaną już ścieżką, by przy okazji obejrzeć wodospady, znajdujące się za Świętą Górą.

Towarzyszył mi tylko wytrawny czarny myśliwy, Kulukali Muru, który twierdził, że zna dobrze tę bliższą drogę.

Do wodospadów dobrnęliśmy względnie prędko.

Nasza rzeczka tu właśnie na tej Świętej Górze brała swój początek.

Po wielkich, omszanych i oślizłych głazach, spada woda z dużej wysokości, tworząc w dole, w miskach skalnych małe jeziora. Puszczą się tu ostro w górę. Ta poskręcana, zniekształcona i bezmyślna zielen przytłaczała człowieka swą grozą i potęgą. Drzewa walczyły jedno z drugim o światło i słońce, wydzierały się w górę. Wiele z nich legło w tej walce, a zwalone spróchniały ich pnie, na których nowe pokolenie lasu rozpoczynało już swą bujną vegetację, były świadectwem tego bezwzględного boju. Gałęzie, uginające się pod ciężarem pasożytów, splecione były niesamowicie supłowatymi lianami, które zwiślały zewsząd w dół, niby pęki, czyhających na człowieka węży-pytonów. Wszystko przesycone było wilgocią rozpryskującej się wody wodospadu, sinawe poprzez mgłę i refleksy pyłu wodnego.

Wokół małych jezior, utworzonych u podnoża góry spadająca woda wyniosła małe lachy piaszczyste, na których znaleźliśmy liczne ślady antylop, a nawet hipopotama. Dobrze to było miejsce dla wodopojów — warto było wybrać się tu kiedyś na polowanie z zasiaadka

Byłem zgrzany i zmęczony — postanowiłem więc odpocząć parę minut. Usiadłem sobie pod stokiem urwiska na jakimś obalonym pniu, gdy usłyszałem naraź, iż coś z trzaskiem i hałasem leci z góry na mnie. Zmartwiałem z przerażenia, spojrziałem w tę stronę i widzę, że po obrośniętym stoku, toczy się w moim kierunku coś, co na pierwszy rzut oka, przypominało raczej tego sławnego diabła z naszej Diabelskiej Góry, o którym tak często opowiadali mi nasi czarni, aniżeli jakiegokolwiek normalne stworzenie. Zmierzyłem więc i strzeliłem. Nic, stwór pędzi dalej. Strzeliłem znów, nabiłem broń powtórnie i znów strzeliłem. Bez skutku. Słyszałem tylko po każdym strzale, jakis metaliczny oddźwięk i bestia skreśliła w bok, kryjąc się w zbitej gęstwinie. Muru Kalukali widząc mój przestrach śmiał się ze mnie tłumacząc, że był to jeżozwierz i, że zabić go jest trudno, bo cały ładunek strzelby zeslizguje się po jego twardych kolcach.

Znaleźliśmy też rzeczywiście na stoku cały pęk powyszarpowanych lotkami ładnych, długich na pół metra kolców tego zwierzaka.

Po ostrej wspinaczce w górę, wydostaliśmy się na mały płaskowyż, na którym były widoczne dawniej fermy czarnych, gdyż las porósł tu jeszcze niewysoki i wszędzie wskutek tego rozpanoszyła się przeklęta trawa sioniowa. Przedzieranie się przez nią jest niesłychanie uciążliwe. Pnie się ona po krzakach i drzewach, tnie ciało do krwi, chwytając się ubrania hamując każdy ruch człowieka. Posuwaliśmy się krok za krokiem, tnąc długim nożem na prawo i lewo, by się od tego złośliwego zielska odczepić. Po przejściu okazało się, że nogi, ręce, szyje mieliśmy porcięte, całe we krwi. Ale wszystko ma swój koniec, skończyła się więc też trawa sioniowa i weszliśmy znów w gęstą puszcze.

Kalukali Muru, wycinając drogę busznajfem, prowadził początkowo pewnie. Ale im głębiej wchodziliśmy w las, tym bardziej mina mu rzedła. Już od dwóch godzin powinniśmy wejść na tereny opuszczonych wsi Matala, a tu nic i nic, żadnego nawet najdawniejszego śladu człowieka.

Sytuacja zaczynała być poważna; najgorzej dokuczało nam pragnienie, a duże manierki wody, które mieliśmy ze sobą — zostały już dawno opróżnione.

(c.d.n.)

*) Autor przebywał przez szereg lat w Afryce tropikalnej.



M

ateusz Krotulski zaczął pić wódkę w 28 roku życia. Przedtem stronił od tej trucizny. Tłumaczył się kolegom i znajomym, którzy namawiali go do kieliszka, że po alkoholu czuje się źle. Abstynencja sprzyjała powodzeniom życiowym tego rolnika. Wybudował nowy dom, kupił młocarnię i inne maszyny, a także znacznie powiększył inwentarz żywy. Toteż panny na wydaniu w Prochowie i sąsiednich wioskach ubiegały się o względy Krotulskiego. Nielażo przecież znaleźć niepijącego, gospodarnego i przystojnego jednocześnie męża. Mateusz wybrał córkę sołtysa w Prochowie – Janinę Miennicką.

W dwa miesiące po zaręczynach wydarzył się w wiosce sensacyjny wypadek. Wkrótce po zachodzie słońca wkroczył do gospody ludowej Mateusz Krotulski. Miał mocno zacienięte szczęki, dzikie spojrzenie i ślady krwi na rękach. Ku zdumieniu wszystkich obecnych zaczął sobie podać setkę wódki. Wypił ją duszkiem i zakrzuszył się. Kiedy atak kaszlu minął, zażądał jeszcze takiej samej porcji „czystej”. Następnie bez słowa opuścił gospodę.

Nazajutrz cała wieś wiedziała, że Krotulski natknął się przypadkiem w lesie na Janinę Miennicką i leśniczego Macieja Kowalskiego. Pobił dotkliwie narzeczoną i jej kochankę, a potem prosto z lasu poszedł do gospody.

Janina wyjechała na Ziemię Zachodnie. Mateusz zaś wódką starał się stłumić szalejący w jego sercu pożar. Od czasu do czasu urządzał po pijanemu „polowanie” na leśniczego. Chciał go zabić. Kowalski w obawie o życie poprosił swoje władze o przeniesienie do innej miejscowości. Wyjechał z Prochowa.

Panny na wydaniu znów przypuściły szturm do Krotulskiego. Starania jednej z nich, Bożeny Wójcickiej, przy poparciu matki Mateusza, nieoczekiwanie nie napotkały oporu z jego strony. Podał się im biernie. W cztery miesiące po wyjeździe z Prochowa córki sołtysa odbył się ślub Wójcickiej z Krotulskim. Podczas uroczystości weselnych pan młody zadziwiał wszystkich swoją obojętną twarzą. Zachowywał się jak widz na nudnym przedstawieniu. Potem upił się do nieprzytomności. Natomiast pani młoda nie ukrywała swej radości. No cóż, nikt nie zna własnej przyszłości...

W pierwszych dwóch latach małżeństwa wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze. Mateusz przestał być codziennym gościem w gospodzie. Nieraz przez cały miesiąc nie zaglądał do kieliszka. W tym okresie traktował dobrze żonę. Co prawda nie okazały jej zbytnej serdeczności, ale i nie krzywdził. Urodził się im syn – Wojtuś, a w rok później przyszła na świat córka – Grażynka. Jednak przez cały ten czas duszę Mateusza nie przestawał toczyć jakiś robak. Każde niepowodzenie życiowe, każda przykrość rzeczywista czy urojona nauczył się młody gospodarz topić w wódce.

Któregoś dnia, zdarzyło się to mniej więcej w dwa i pół roku po ślubie, po raz pierwszy pobił żonę za to, że zrobiła mu wymówkę za marnowanie pieniędzy w gospodzie. Był pijany. Nazajutrz po wytrzeźwieniu wstydył się swego postępu. Przeprosił Bożenę i przysiągł, że już nigdy więcej nie podniesie na nią ręki. Ale co znaczą przysięgi człowieka znajdującego się w kleszczach nałogu? Po dwóch tygodniach historia z biciem i przeprosinami powtórzyła się. Powtarzała się coraz częściej. Z tą tylko różnicą, że odpadło stopniowo przeproszanie. Mateusz zrobił się zgrzyliwy, wybuchowy i podejrliwy. Zaniedbał gospodarke.

Rodzice Bożeny radzili jej, by rzuciła męża pijaka i wróciła do nich z dziećmi. Nie przyjęła tej propozycji. Miała nadzieję, że Mateusz opamięta się. Starła się być dla niego jeszcze bardziej dobra i czuła, niż dawniej. Ale to przyniosło wręcz nieoczekiwany skutek. Pewnego dnia Mateusz powiedział:

– Nie udawaj troskliwej. Mnie nie oszukasz. Mylisz się, jeśli sądzisz, że uspiżysz moją czułość.

– Co masz na myśli? – zapytała zdziwiona.

– Sama dobrze wiesz, o co mi chodzi – mruknął w odpowiedzi. Potem spostrzegła, że mąż ją śledzi. Skradał się za nią, kiedy szła do lasu po chrust. Innym znów razem zapowiadał, że idzie do sąsiadów popatrzeć na telewizję lub pograć w karty, a w rzeczywistości chował się w stodole i czatował. Zdarzało się też, że nieoczekiwanie przerywał libację w gospodzie, wracał do domu, zaglądał pod łóżko i do szafy i bez słowa

wyjaśnienia wracał do kompanów. Zauważała też, że od pewnego czasu przygląda się wnikliwie Wojtusiu i Grażynce, a potem ogląda własną twarz w lusterku. Wreszcie puścił parę z ust.

– Ten Wojtek, to na pewno nie mój syn. Jest za bardzo podobny do twego sąsiada z panieńskich czasów – Karolczuka. Podrzuciłaś mi bachora. Iachudro... A i teraz też lajdaczysz się z młodszymi i zdrowszymi ode mnie. Mam na to dowody. Nie wyprzesz się... – Zwariowałeś, czy co? – zawołała oburzona.

Zaczął się najtrudniejszy okres w życiu Bożeny. Mąż na każdym kroku zadreślał ją swoją zazdrością. Bił, wyzywał i robił wymówki.

Wreszcie kierowniczka szkoły poradziła nieszczęśliwej kobiecie, by zwróciła się o pomoc do poradni przeciwalkoholowej, znajdującej się w miasteczku powiatowym. Pojechała. Przyjęła ją młoda lekarka. – Zazdrość pani męża jest typowym objawem groźnej choroby, zwanej urojeniem alkoholowym – stwierdziła lekarka po wysłuchaniu nieszczęśliwej kobiety. – Takie urojenie z zasady dotyczy niewierności współmałżonka. W tym konkretnym wypadku wódka miała ułatwić pracę. Mąż pani zawiódł się kiedyś boleśnie na pierwszej narzezo-

Przestraszona Bożena znów pojechała do przychodni przeciwalkoholowej. Lekarka wysłuchawszy opowiadania nieszczęśliwej wniesniczki, rzekła:

– Źle przedstawia się sprawa. Historia z myszami, to dowód ataku „białej gorączki” u pijaka. Zapominanie o pewnych wydarzeniach świadczy, że mózg został już poważnie uszkodzony przez wódkę. Do tego dołączyła się jeszcze padaczka alkoholowa. Dłużej zwlekać już nie można. Oto papier i pióro. Proszę pisać. Podyktujcie pani prośbę o skierowanie męża na przymusowe leczenie w zakładzie zamkniętym.

Krotulski dowiedziawszy się o staraniach żony dostał ataku złości.

– Usiłujesz umieścić mnie w domu wariatów – krzyczał – chcesz się mnie pozbyć, aby swobodnie wyzywać się ze swymi kochankami... Ale niedoczekanie twoje. Wpierw cię zamorduję...

Po śmierci starej Krotulskiej Mateusz zaczął cierpieć na halucynozę alkoholową. W nocy zjawiał się przed jego łóżkiem duch matki i wołał strasznym głosem: „Zbliża się już i twój koniec. W piekle wszystko przygotowane na twoje przyjęcie. Nie ma dla ciebie ratunku, synu. Cześć...”



DROGA DO DELIRIUM

nej i w jego psychice wytworzył się uraz, który pod wpływem systematycznego nadużywania alkoholu przemienił się w chorobę psychiczną. Niech pani spróbuje namówić męża by oddał się pod opiekę naszej przychodni. Gdyby jednak nie zgodził się na to, to proszę wyspywać mu po kryjomu do jedzenia te oto tabletki. Budzą one wstret do alkoholu.

Jeszcze tego dnia Bożena zaproponowała Mateuszowi, by zaczął się leczyć z nałogu. Wpadł w szal i zwymyślał ją. Nazajutrz wyspała mu do jedzenia przepisana przez lekarke porcję leku. Po spożyciu posiłku mąż pokręcił się trochę po izbie i wymknął się do gospody. Wrócił po kilkunastu minutach z kijem w rękę. Twarz miał wykrzywioną z wściekłości. Zawołał:

– Antabusem nakarmiłaś mnie, ty Iachudro... Sądziłaś, że jestem głupi i niczego się nie domyślę, co?

Uderzył ją kijem w głowę, a gdy upadła tłukł dopoty, aż się zmęczył.

Zakrwawiona, posiniaczona i obolała uciekla do domu rodzicielskiego.

W miesiąc później podczas libacji w gospodzie nawiedziły Mateusza okropne bóle. Wił się po podłodze, jęczał i krzyczał. Sprowadzone telefonicznie pogotowie ratunkowe zabrano go do szpitala. Po kilku dniach nadeszła do Prochowa wieść, że Krotulski jest ciężko chory. Bożena walczyła ze sobą. Poczucie obowiązku małżeńskiego kazało jej jechać do szpitala. Jednocześnie wstrzymywała ją wspomnienie razów, przewisk i upokrzeń. Przemogła się jednak i pojechała. Mateusz rozplakał się na jej widok. Ona też zalała się łzami. Obiecał wtedy, że nigdy już więcej nie weźmie wódki do ust...

W pierwszym dniu po powrocie ze szpitala Mateusz upił się w gospodzie. Nałóg nie wypuścił go ze swych kleszczy. Wszystko potoczyło się po dawnemu. Tylko Bożena nie pozwoliła się już bić. Była teraz silniejsza od męża, który degenerował się coraz bardziej. Pewnego dnia podczas obiadu zaczął nagle krzyczeć ze strachu i ciskać talerzami o podłogę. Później wyjaśnił żonie, że myszy wlały mu do jedzenia. Kazał kupić w Gminnej Spółdzielni zatrutę pszenicę przeciwko tym zwierzętom. Bożena nic nie widziała. Później stwierdziła u męża zaburzenia pamięciowe. Zdarzało się np., że nie pamiętał, co robił przed kilkoma minutami. Pewnego razu stracił nagle przytomność i począł się wić w epileptycznym ataku.

cię straszliwe męki”. Innym razem do głosu tego dołączały się jakieś gromadne chichoty lub zawrozenia. Mateusz drżał ze strachu, kiedy zbliżała się noc. Nie mógł spać. Upijał się do nieprzytomności.

Nadszedł wreszcie dzień, który długo pamiętać będą mieszkańcy wioski. Po śniadaniu Bożena poprosiła męża, by poszedł do stodoły i urznął trochę siewczki. Po kilkunastu minutach rozległy się okropne krzyki. Wystraszona Bożena pobiegła do stodoły.

Mąż krzyczał i machał rozpaczliwie cepem dokoła siebie, jakby się przed czymś opeędzał.

– Myszy, żaby, pająki, żmije... Ratuj mnie – błagał. – Wzywaj ludzi na pomoc. Pożrą mnie. Patrz, ile tego świństwa napadło na mnie!

Bożena straciła głowę i nie wiedziała, co robić. Mateusza znów nawiedził ostry atak „białej gorączki”. Rzucił wreszcie cep, upadł na klepisko i schowawszy głowę w ramionach wył ze strachu. Nagle zerwał się i pobiegł do domu. Za chwilę wrócił z powrotem do stodoły z bańką nafty. Nim struchlała ze zgrozy Bożena zdążyła cokolwiek przedsięwziąć w celu zapobieżenia nieszczęściu, pijak wylał naftę na słomę i podpalił ją. Płomień momentalnie ogarnął stodołę. Wiatr przerzucił płomień na dom mieszkalny Krotulskich. Mateusz patrząc na pożar obłądnymi oczyma, pokładał się ze śmiechu i wołał:

– Patrzenie ludzie, jak uciekają myszy, żaby, pająki i żmije. Ha, ha, ha. Ognia się boicie, gady przekłete! Ha, ha, ha...

Smutnie kończył się ten dzień. Bożena obficie zraszała łzami zgłiszczą swojej zagrody. Krotulskiego, związanego w kaftan bezpieczeństwa, karetka pogotowia ratunkowego odwiezła do szpitala dla umysłowo chorych. Pijak stał się groźny dla otoczenia i natychmiast izolowano go.

Oto do czego doprowadzić może człowieka wódka...

JERZY ALEKSANDER

Rys. B. Eineberg



**Z POBYTU KS. BISKUPA
PRYMASA DR M.RODEGO
W BOLESŁAWIU**

Fot. S. KOŁACZYK





W Kościele Polskokatolickim rezurekcję celebrował i prowadził procesję Ks. Biskup Prymas Dr M. Rode. Na zdjęciach kler i wierni podczas rezurekcji biorący udział w nabożeństwie i procesji.

Fot. J. KURULISZWILI





KONFLIKTY

Staruszka długo wpatruje się w odjeżdżający pociąg, jakby pragnęła się upewnić, że opuścił stację, a teraz nabiera szybkości i za chwilę zniknie za leśnym, piaszczystym wzgórzem.

Tak jest codziennie i codziennie widzą ją ludzie z wioski, jak ręką podpira się o pochyły płot, spoglądając na stromy nasyp toru. Zanim uda się do pobliskiego domu, w którym mieszka jej córka, zarzuci na furtkę zardzewiałą brzęcz i przywoła kota. Usłyszy bardzo daleki gwizd pociągu, więc raz jeszcze spojrzy na siniejące pasmo lasu. Teraz drobnym, szybkim krokiem zbliża się do murowanego domku, który jest własnością jej córki. Niedawno go pobudowali. Taki zgrabny, jednorodzinny domek z czerwoną dachówką i falistą blachą. Jeszcze przed ślubem córki, matka staruszka sprzedała kawałek łąki i przyległego pola i w ten sposób dopomogła przyszłemu zięciowi. Myślała, że jak tylko dom postawią przyczepią ją do siebie. Mieszkała w starej, zapadłej chałupie pod słomianą strzechą. Ludzie przechodząc mieli sposobność porównać starą chałupę do zamierzchłych lat biedoty wiejskiej. Bowiem wioska przybrała wygląd wioski murowanej z szeroką, bitą drogą wysadzaną drzewami, z nowo wybudowaną szkołą i kościołem, z jarzącymi się światłami okien.

— Tylko czekać rychło chałupa babci Rozalii zawali się i nieszczęście gotowe — opowiadali sobie ludzie. Znając Józefa Kotulę jako spokojnego i równoważonego człowieka dziwili się, że

nie wzruszy go los staruszki, matki jego żony Anulki. Chociaż jeszcze nikt nie był świadkiem jawnych waśni czy sporów między zięciem, a teściową. Przeciwnie. Kiedy jej współczuli porównując niby to żartem, że jej chałupa pod słomianą strzechą stoi na kurzej stopce, a w nocy w jej obejściu diabły harcują, babcia Rozalia pełna oburzenia wskazywała na odległą gospodę, że tam owych diabłów szukać należy, którzy ludzi do rozpusty i pijaństwa namawiają, że jej chałupa nie taką gospodę przetrwa. A jednak plenił się chwast nienawiści i ludzie wiedzieli o tym.

Józef Kotula pracował w pobliskim miasteczku jako kierownik robót budowlanych, stąd jego codzienne wyjazdy koleją do miejsca pracy. Może już dawno kazałby rozebrać chylącą się ku ziemi chałupę, ale miał swój powód dla którego odmawiał miejsca matce staruszce w swoim domu. Powód z którym nie każdy mógł się pogodzić i który wywoływał drwiny i śmiech. Był nim kot, z którym staruszka nigdy się nie rozstawała. Towarzyszył jej na każdym kroku. Na jej życzenie pilnował starej chałupy, nie ruszając się z miejsca. Z ulubieńcem kotem zaprzyjaźnił się dwuletni synek Kotulów, poza którym ojciec świata nie widział. Również Anula była niekiedy aż nadto przewrażliwiona na punkcie wychowania dziecka, gardząc radami matki-staruszki. Kiedy na jesieni mały Zbyszek po długotrwałej grypie musiał nadal pozostać w łóżku z powodu krost, jakie rozsypały się po ciele, wywołując tym większe zniecierpliwienie dziecka, Kotula uniósł się złością i niewiele brakowało, żeby wrzucić kota do pobliskiej studni zawałonej kamieniami. Od tego dnia przez dłuższy czas nie pokazywała się u córki matka staruszka, siedząc ze swoim kotem w chałupie i tę-

skniąc za małym wnuczkiem, którego bardzo pokochała. Wówczas przez dwie noce szalała wichura i Bóg jedyny wie, ile bezsennych godzin przetrwała Anula w obawie o życie matki. Znaleźli się ludzie życzliwi i chcieli przyczepić starowinę. Teraz już coraz częściej szemrano na Józefa Kotulę, że niby to do kościoła w niedzielę i daniny nie szczędzi na rozbudowujący się kościół, a zawzięty w sobie, nieludzki, że niby to o kota... Konflikt na pozór błahy. Ale w życiu człowieka niekiedy błahostka zaważy na jego szali losu. Miło i schludnie wyglądało w zagrodzie Kotulów. Czyste firanki w oknach, przystrojonych zielenią. Bo żona Kotuli kochała kwiaty i lubiła porządek i czystość! W ogrodzie zwłaszcza wiosną, kiedy jeszcze nieśmiała zieleń pokryła drzewa i krzewy, a w wiązankach promieni słonecznych rozśpiewały się ptaki, powietrze pełne było zapachu pól i łąk, nie znalazłbyś piękniejszego zakątka nad ogród Kotuli. Niedaleko pochyłych grusz i jabłoni malowały się „zielone domki” wokół których można było usłyszeć jednostajną muzykę pszczół. Owe przytłumione, prawie, że nieuchwytnie brzęczenie złote jakby skrzydeł komarów. Ogród był dla Kotuli prawdziwą rozrywką po jego powrocie z pracy, wokół którego nie szczędził trudu i mocołu. Tutaj w pogodne dni babcia zabawiała się z wnuczkiem. W cieniu drzew czereśniowych mały Zbyszek zażywał ulubionej huśtawki. Wiatr rozplatał jego jasne kosmyki włosów, a słońce darzyło uśmiechem. Babcia na ile tylko sił jej starczyło chętnie pomagała swojej córce i zięciowi. Gdzież tu więc mowa o właściwym konflikcie rodzinnym?

*

Pociąg opuścił stację i babcia jak każdego dnia udała się do córki. I już wnuczek zabawia się kotkiem. W okna puka przedwiosennie słonecznymi gałązkami drzew.

— Zapomniałam mamie powiedzieć, rozmawiałam z naszym kowalem. Chętnie zabrałby naszego kota. Ma kłopot z myszami. Więc myślałam sobie, że... I Józek byłby rad. On nie taki zły, babciu. Na rozbiórkę chałupy też już czas. Dość ludzkiego gadania.

Babcia skończyła obierać ziemniaki i wpatruje się w córkę.

— Józekowi nie kot stoi w drodze. Na moje pieniądze zaoszczędzone czeka. Już ja wiem.

— Mamo — krzyknęła ze złością Anula. Jeżeli kiedyś o nich wspominał to chciał tylko pożyczki, żeby wreszcie otynkować dom. Ale dopóki to kocisko...

— Nie oddam kota, Anula. Nikomu nie oddam. Na pożarcie myszom kowala. A jakże! Już niedługo pożyje mi na świecie. Skończą się wam kłopoty.

— Kiedy mama nie da sobie wytłumaczyć. Tylko ciągle w kółko. Żeby tę chałupę diabły na rogach rozniosły.

— Boga w sercu nie masz, Anula. Ty i Józek. Jak już tylko nieco zimnem podmucha to was w kościele nie zawsze widać.

— Gorzej mamo, że nie widać niekiedy naszego proboszcza, kiedy po niego powózkę nie pošlę — odcięła się ze złością Anula.

— Dziecko moje! Jakże to. Na miłość boską. I to mówi moja córka. Przecież do naszego kościółka spory kawałek drogi. Miałby więc do nas pieszo?

– Choćby rowerem, babciu.

– To ja ciebie od małości zawsze w duchu religijnym, zawsze po bożemu. Najlepszego życzyłam. Od ust odejmowałam. Przecież nie żałowałam wam grosza na pobudowanie domku. Bóg mi świadkiem. Kocham was i do wnuczka jestem przywiązana. A jeśli chodzi o te pieniądze... To na moją czarną godzinę ostatnią.

– Nikt miejsca matce u nas nie skąpi. Tylko o tego kota... Niech mama...

Usłyszała krzyk dziecka. Więc przyskoczyła i wyszarpała kota z dąk dziecka, odrzucając go pod drzwi.

– Niech mama popatrzy – zaniosła się płaczem. Buzię podrapał. I co teraz – co powie Józek?

Przestraszone krzykiem dziecko przytuliło się do babci.

– Paskudne, wstrętne kocisko. Ja mamę proszę, niech mama do nas bez kota. Bo go nie wpuszczę.

Zajęta dzieckiem nawet nie spostrzegła kiedy staruszka odeszła. Był już wieczór. Cicho poszczekiwały psy. Powietrze pełne było przedwiośnia, chociaż wiatr wiał jeszcze zimny. Z pobliskich podwórzy dochodził poryk krów, rzenie koni. Gdzieś zagrała harmonia. Zawtórował jej śpiew. Nad dalekim lasem wschodził księżyc i jasno migotały gwiazdy. Babcia Rozalia zdjęła zardzewiałe obręcze z furtki. Kot przemknął szelestem w stronę drzwi. Kiedy zapaliła małą lampkę naftową, przysunęła do siebie stary album rodzinny, w którym nagromadziła zdjęcia z zapomnianych lat. Spojrzała na nią mała, uśmiechnięta Anulka, jej jedyna córka. Ojciec? Mój Boże! Liczyła wówczas kilka wiosen – gdy zginął w katastrofie kopalni. Oto widzi go w stroju gorniczym z sumiastym wąsem. I znowuż na wyblakłych zdjęciach jej Anulka. Babcia odkłada album. Rozgląda się po ubogiej izdebce. Na ścianach obrazy świętych z zasuszonymi pęciami ziół, z różańcami jarzębin. Coś zastukało w ścianę. Wiatr szarpnął okiennicę. Górą jakby przebiegł szelest podobny do trzasku spróchniałego drzewa. Tynk opadł płatami na stół. Kot wskoczył na kolana babci, mrużąc przymilnie. Z małej, dębowej komody wydobyła zawiniątko związane sznurkiem.

– To na moją ostatnią godzinę – pomyślała. Józek ma kłopot z otynkowaniem domu. A może starczy dla nich i na mój pogrzeb. Może starczy.

Grube łyzy potoczyły się po zmarszczonej twarzy. Dał się słyszeć ten sam suchy trzask, jakby ktoś rozłupał spróchniałą belkę. Wiatr zaszumiał za oknem i przycichł.

*

Nikt nie wiedział, gdzie zapodział się kot. Tylko staruszka domyśliła się wszystkiego. Kot uciekł od kowala pod wieczór. Wrócił oblepiony błotem i zablakał się do Kotulów w poszukiwaniu staruszki. Niespostrzeżony wskoczył do łóżeczka małego Zbyszka. Na tym zakończyła się błaża i śmieszna sprawa kota. Znikł na dobre. Tylko babcia nie mogła się pogodzić ze swoją stratą. Codziennie zaglądała do głębokiej, nieczynnej już studni zawalonej kamieniami. Również wnuczek jakiś czas szukał w ogrodzie kota.

– Nie wiem babciu, pojęcia nie mam, gdzie się zapodział – tłumaczył Kotula.

Córka również nie mogła udzielić w tej sprawie wyjaśnień.

– Tak sobie myślałam, Józek, że chyba starczą te pieniądze dla mnie i dla ciebie – rozważała babcia. Tylko powiedz mi synku... Ty wiesz najlepiej... gdzie mój kot. Powiedz, a będę spokojna.

– Powiem tyle, żeby mama wprowadziła się do nas. To najważniejsze. Jutro rozbiemy chałupę. Dość ludzkiego gadania. Anula pomoże mamie przenieść rzeczy. A pieniądze na razie nie trzeba. Kot różnymi drogami chodzi, wiadomo. Sprykrzy mu się, to wróci.

Przez chwilę krzątała się po kuchence, zanim udała się do ogrodu po wnuczka. Była słoneczna niedziela. Jeden z tych dni, w których gościnnie zaprasza się przedwiośnie i do sere ludzkich słońcem zagłada. Na drogach zaroilo się od ludzi jako że dzień był świąteczny, wypoczynkowy.

Drzwi uchylily się gwałtownie.

– Ludzie, ludzie. O Jezu! Chałupa babci Rozalii... Na pomoc ludzie!

– Zbyszek, gdzie Zbyszek – krzyknęła Anula. Kiedy wpadli na drogę, zdążyli jeszcze zauważyć staruszkę za furtką chałupy.

– Dziecko kota szukało – usłyszeli zdenerwowany głos jednej z sąsiadek. Widziałem przed chwilą. O, tam, tam pobiegło... do chałupy.

– Puście mnie, puście mnie, ludzie – krzyczała Anula nieprzytomna z przerażenia. Ale obstąpili ją, uspokajając – wpatrzni w chałupę. Słomiany dach jakby zapadł się w głąbię. Rozległ się trzask spadających belek. Jedna ze ścian rozkruszyła się, rozpadła jakby starta w proch. Brzęk stłuczonych szyb i kamienny łoskot spadających brył. A potem nagle, przeraźliwą ciszę rozdarł czyjś bolesny krzyk i płacz dziecka.

– Babcia Rozalia, dziecko! Ratujcie! Józef Kotula siłą rozepchnął tłum. Kilku śmiazków pobiegło za nim.

– Dziecko, tam moje dziecko – usiłowała wyrwać się z rąk przytrzymujących ją ludzi.

I nagle krzyk zdumienia:
– Spójrzcie, spójrzcie! Żyją!

Staruszka potykając się po gruzach cegiel, ostatkiem sił starała się podtrzymać na rękach dziecko. Ale już dobiegł do niej Kotula – w chwili, kiedy gęsty obłok pyłu wzbil się w górę i stara chałupa pod słomianą strzechą jakby zapadła się pod ziemię.

Cicho otwierają się drzwi. To Anula z małym Zbyszkiem przystanęła w pokoiku.

– Ba... babcia... – wymówił z uśmiechem wnuczek i z kwiatkami podbiegł do łóżka.

Staruszka uniosła obandażowaną głowę i jedną wolną ręką starała się przytulić do siebie wnuczka. Wówczas Anula z palcem na ustach spojrzała w uchylone drzwi. I zanim staruszka spostrzegła, wszedł na palcach do pokoju Józef Kotula z małym, plecionym koszyczkiem, w którym leżał zwiniony w kłębuszek małeńki, biały kotek...

Za oknami błękitniało niebo przedwiośnia i głośno nawoływały się ptaki.

JÓZEF BARANOWSKI
Fot. J. Kuruliszwili

STROFY MAJOWE

Jaki nadam kształt
Strofom majowym
I jaką pieśnią rozśpiewam,
Dziś rozmyślałam ile wiosen
Liczą drzewa,
Ile burz ciosalo je piorunem,
Aż do białych rozpruwając żył.
Ile wiosen liczą
Kamienie polne
Jakby zastygłe skamieniałą lawą
brył.

Gdy wśród drzew co rozkwitły na
nowo,

Pieśni słowika.
Na kamieniach
Skrzydła motyli.
I ten zapach łopianu,
Który przenika.

Brzozy w zielonych welonach
Zaręczają się z wiosną
Ze niebo w wiosennych dzwonach



I w złotych krosnach
I w sygnaturkach skowronków
Kaplica
Majowa...

Którą deszcz słoneczny
I biały bez przeszyca,
A świece u ołtarzy
W zapachu plastrów miodu.
Maju mój.
Urodo życia!

I rozmyślałam – jakby przerzucić
Most tęczy
Nad sercem ludzkim.
Żeby zwiędły jak liście zeszłoroczne
Troski i smutki.

Skoro cała
Weseli się natura.
Drzewa, kamienie, ptaki.
Skoro ja weselę się wiosną,
Choć nie pamiętam już
– którą...

J. B.



nego dziecka. Istniejąca w domu rodzinnym atmosfera życzliwości i serdeczności, posiada duży wpływ na dokładniejsze poznanie wychowanka. Na pewno zapyta się ktoś z rodziców: „W jaki sposób można poznać swoje dziecko?” Nie ma gotowej recepty ułatwiającej poznanie dziecka dokładnie. Trudność polega na tym, że nie ma dwojga dzieci jednakowych, bo każde z nich jest dla siebie odrębną indywidualnością i oddzielnym światem. Jedynie możliwe jest nakreślenie ogólnych i elementarnych czynników w procesie poznania dziecka.

Na rodzicach — jak już była o tym mowa — ciąży poważny obowiązek natury społecznej, ponieważ mają dostarczyć społeczeństwu pozytywnych obywateli. Dlatego muszą oni wygospodarować czas i tak ułożyć plan dnia, aby mogli poświęcić jak najwięcej czasu swemu dziecku. To ostatnie musi być wychowane przez swoich rodziców, którzy przez bezpośrednie obcowanie z dzieckiem pozna-

szlachetniejszego uczucia miłości ze strony swoich najbliższych, żyje w atmosferze smutku, żalu, tęsknoty, cierpi na kompleks niższości w stosunku do innych, czuje się w świecie samotne, jak żeglarz na morzu, obce stają się dla niego uczucia dobroci.

Z uwagi na doniosłość i aktualność omawianego problemu, przytoczymy kilka charakterystycznych rysów działalności wychowawczej rodziców działających w zaślepieniu.

„Rodzice zaślepieni uczuciem do dziecka tracą zdolność do obiektywnego spojrzenia na nie... Na wszystko się pozwala, wszystkiemu się pobbłaża, z zasady występuje się w obronie dziecka, często bez istotnej potrzeby. Zaślepienie miłością matki starają się za wszelką cenę stworzyć dziecku cieplarniane warunki, zwalniając od wszelkich obowiązków, odsuwając od niego trudności. Charakter, zamiast się hartować, traci coraz bardziej cechy stanowczości, siły woli, energii i odporności... Chronienie dziecka przed każdym wysiłkiem, izolowanie od szarej, nieciekawej, często jednak niezbędnej pracy łączy się ściśle z jego krzywdą, z późniejszymi trudnościami, niepowodzeniami, kłopotami... Miłość zaślepiająca zaciera prawdziwy obraz dziecka. Wypacza go, nie pozwala na właściwe poznanie, uniemożliwia dobór odpowiednich metod postępowania... Jednym z przejawów miłości zaślepiającej jest narzucanie się z uczuciami, ciągłe ich podkreślanie i manifestowanie. Dzieci nie znoszą tego, bronią się opryskliwością i zniecierpliwieniem, są zazenowane... Kochać dziecko to wcale nie znaczy ciągle mu to okazywać... Dziecko po pewnym czasie bardziej się męczy. Staje się nerwowe, rozdrażnione, często opryskliwe. Trzeba więc panować nad swoimi uczuciami. Okazywanie ich nie może i nie powinno przekraczać granic zdrowego rozsądku”. (H. Izdebska, dz. cyt., str. 94 i n.).

Przytoczone słowa są tak zrozumiałe, że nie wymagają osobnego komentarza. Istnieje jeszcze inna forma omawianej miłości objawiającej się niekiedy w całkowitym poświęceniu się rodziców i wyrzeczeniu się bez granic dla dziecka. Dla zilustrowania tej miłości odajmy głos znów cytowanej przez nas autorce.

„Wiele rodziców gotowych jest odmówić sobie wszystkiego, byle dziecko (szczególnie dotyczy to jedynaków) miało zaspokojoną każdą zachciankę, byle mu na niczym nie zbywało, byle mu niczego nie odmówić... Robi się to jak najbardziej bezinteresownie, wyłączenie z myśli o kochanej istocie, ale kiedy nasze uczucia nie znajdują odzwierciedlenia w sercu rodzi się żal i gorycz. Suma goryczy jest wówczas wprost proporcjonalna do sumy niepotrzebnego poświęcenia. A przecież można tego uniknąć, obdarzając dziecko tylko tym, co jest mu do życia i właściwego rozwoju niezbędne”. (dz., cyt., str. 95 i n.).

Oprac. ks. mgr. M. SOKOŁOWSKI
(Dokończenie nastąpi)

Twoje dziecko i Ty

W niniejszym artykule pragniemy omówić zagadnienie poznania dziecka oraz uczucia rodzicielskiej miłości do niego. Postawienie niniejszego problemu jest jasne i zrozumiałe samo w sobie.

Aby wychowanie dało dobre wyniki, rodzice muszą przede wszystkim poznać własne dziecko. Poznanie bowiem tego ostatniego jest *conditio sine qua non*, czyli warunkiem koniecznym, bez którego nie można skutecznie oddziaływać na dziecko, właściwie z nim postępować i kierować.

Mimo woli nasuwa się pytanie: czy możliwą jest rzeczą, aby rodzice żyjący z dzieckiem od jego urodzenia, nie znali go? Doświadczenie pedagogiczne, wnikliwe studium nad sprawami socjologicznymi oraz codzienna obserwacja życia potwierdzają fakt, że rodzice nie znają dokładnie swego dziecka, będącego przedmiotem wychowania. Jakże są tego przyczyny? Jak już poprzednio nadmieniliśmy, główną przyczyną tego stanu rzeczy jest brak podstawowego, zasadniczego przygotowania rodziców do odpowiedzialnego i trudnego zadania, jakim jest problem wychowania dzieci. Oni to traktują sprawę wychowania dzieci „po macoszemu”, zaliczając je do prostych i łatwych czynności. A jednak w rzeczywistości tak nie jest i w praktyce codziennego życia, gdyż praca wychowawcza wymaga wiedzy i umiejętności ze strony rodziców.

Brak odpowiedniej wiedzy, umiejętności, nieznanie własnego dziecka jest przyczyną różnych niepowodzeń, zdemoralizowania i egoizmu wśród wychowanków. Zrozumiałe staje się dążenie do przeprowadzenia „pedagogizacji” rodziców, polegającej na zaznajomieniu ich z podstawowymi wiadomościami z dziedziny rozwoju i wychowania dziecka. Wspomniana „pedagogizacja” ma na celu przygotowanie rodziców do wykonywania ważnej i odpowiedzialnej funkcji w skali społecznej.

Częstym błędem popełnianym przez rodziców jest wynoszenie dziecka ponad innych. Działają oni nieraz pod wpływem niezdrównej, ślepej ambicji, uważając swoje dziecko za lepsze od ich rówieśników, chociaż czasem tak nie jest. Chlubią się swoim bogactwem i to wpajają dziecku, które dzięki temu wrosta w dumę. Drugimi biedniejszymi dziećmi pogardzają, dlatego, że są gorzej ubrane, oraz nie chcą widzieć tego, że ich własne dziecko posiada mniej rozważy, pomysłów itp. A więc rodzice winni ze swego otoczenia wyrugować bez reszty elementy egoizmu, wynoszenia się ponad innych, niezdrównej ambicji, a na dziecko powinni patrzeć przez pryzmat rzeczywistości, nie zaś własnych pragnień i marzeń, gdyż to wypacza i psuje charakter młodego osobnika.

Zła koncepcja i pojęcie wychowania mogą być również powodem nieznanie włas-

ją jego potrzeby, pragnienia nurtujące jego jestestwo. Rodzice muszą starać się za wszelką cenę o to, aby posiadać wgląd w całość kształt życia własnego dziecka, a to im utrudnia drogę do jego poznania. Muszą oni również zadbać o to, aby z pracy domowej nie wyłączyć dzieci, gdyż jest to ważny czynnik wyrabiający altruistyczne cechy charakteru, oraz pozwalający na bliższe poznanie osobowości młodej istoty. Naturalnie, że praca, którą dziecku polecamy zrobić, powinna być dostosowana do wieku i jego możliwości psychiczno-fizycznych.

Dziecko — jak o tym już mówiliśmy — posiada swoisty świat pragnień, marzeń, przeżyć i z tym trzeba się poważnie liczyć. Metodą najbardziej skuteczną, dającą pomyślne wyniki w dziedzinie wychowania dziecka jest poważne jego traktowanie ze strony rodziców i wychowawców. Jeśli tego nie będziemy przestrzegać, cały nasz wysiłek wychowawczy może się okazać bezowocny. Ważną sprawą jest zagadnienie uczucia rodzicielskiej miłości względem dzieci. Każde dziecko pragnie być kochane przez swoich najbliższych. Miłość tych ostatnich gwarantuje właściwy i normalny rozwój dziecka. Pogląd ten podzielają ludzie ciesząc się długoletnią praktyką życiową, oraz całkowicie aprobuje go pedagogi i psycholodzy.

Wpływ miłości na rozwój psychiczno-fizyczny osobowości dziecięcej jest duży. Dziecko, które pozbawione jest największego i naj-

MIŁOŚĆ BLIŹNIEGO

Zdarzyło się to na terenie jednej z rzymskich parafii w Kamiennej Górze. Organizator pan W. miał syna Antoniego, który w młodym wieku trafił w zdemoralizowane środowisko złych kolegów i zaczął kraść. Sąd skazał go na rok więzienia. Dwudziestoletni chłopiec odbył karę, wyraził chęć zerwania z dotychczasowym trybem życia, rozpoczęcia uczciwej pracy i znalezienia dachu nad głową. Ojciec bowiem wyznał się swemu synowi, a nawet oświadczył, że Antoniego nie chce znać, nie chce go widzieć na oczy, że ma ośmioro dzieci na głowie i to mu aż nadto wystarczy. Tym dziwniejsze jest stanowisko ojca boć przecież jest on człowiekiem wierzącym i praktykującym, i zdaje sobie sprawę z ciężkiego na nim chrześcijańskiego obowiązku i odpowiedzialności moralnej za losy syna. Znamienne także było ustosunkowanie się do powrotu Antoniego W. rzymskiego księdza proboszcza i wikarego.

Ksiądz wikary wyraził gorące ubolewanie — i nie poza tym — natomiast ksiądz proboszcz oświadczył na interwencji władz: — Państwo posiada specjalne zakłady dla tzw. trudnej młodzieży, tam są wychowawcy, którym za to placą i którzy winni tę młodzież wychowywać. Sprawa Antoniego to prywatna i osobista sprawa pana W., a do prywatnych spraw mieszać się nie będę. Słowa o miłosierdziu, o umiłowaniu bliźniego, niestety, pozostały tylko słowami. Tak jak to często się zdarza w rzymskim Kościele. Iluż to ludzi wtedy się załamuje moralnie i odchodzi od wiary. Jak bardzo cierpi na tym autorytet kapłana.

W opisanym przypadku Antonim W. postanowił zaopiekować się Komitet Pomocy Społecznej i kurator. Chłopak nie będzie wyłącznie zdany na własne siły i łaskę losu w trudnym okresie powrotu do uczciwego życia. Znalazły się pomocne, opiekuńcze dłonie, jednak nie tam gdzie powinny znaleźć się przede wszystkim. A przecież droga do Chrystusa wiedzie przez miłość do bliźniego.

Fr. Oszmiański

Kto pod kim dołki kopie...

(Dokończenie)

— Ale ja nie zaglądałem do „Czytanki“. Daję słowo! Nie wzięłem ci!

Basia spytała teraz głośnie i gwałtowniej:

— A może i „Czytanke“ nie ty wzięłeś? Co? Dasz słowo?

Zenek milczał. Jakże jej powiedzieć, że to Waldek wyjmował „Czytanke“ Basi z jej teczki. Jakże mu teraz Basia uwierzy? A przyznać się do wszystkiego?... Czy Waldek się nie wyprze?...

Właśnie odezwał się dzwonek. Dzieci z hałasem zasiadały w ławkach. Basia stała obok Zenka.

— No, oddasz te dwadzieścia złotych, czy mam...

Zenek odpowiedział przedko:

— Oddam ci jutro! Na pewno! Ale nie wiedział, jak to zrobi. Pani weszła do klasy. Uciszyło się.

Basia wstała. Zenkowi serce zatłukło się niespokojnie. Poskarży!...

Basia zaczęła:

— Proszę pani...

— A co takiego?

— Proszę pani — Basia zerknęła w stronę Zenka. — Bo ja dzisiaj miałam powiedzieć wiersz.

Zenkowi zrobiło się jakoś dziwnie pusto w głowie. Nie mógł o niczym myśleć.

Basia mówiła zupełnie gładko zadany wiersz. Aż do końca.

Na przerwie Zenek podszedł do Waldeka:

— Ty! Oddaj te dwadzieścia złotych!

Waldek był bardzo zdziwiony:

— Co? Jakie dwadzieścia złotych?

— Nie wiedziałem, że jesteś złodziejem!

— Kto? Ja?!!!

Zenek krzyczał:

— Ty się nie wypieraj! Nie udawaj!

Waldek ruszył jednym ramieniem:

— Odczep się!

Zenek mało się nie rozplakał. Coż by pomogło, gdyby nawet sprzął Waldeka?

Wracał bardzo powoli do domu i wciąż myślał o tym, skąd weźmie te dwadzieścia złotych dla Basi. Musi oddać. Ona powie pani... dowiedzą się rodzice... Jakże im wytłumaczyć?...

Stanął bezmyślnie przed wystawą księgarni. Właśnie wychodziło stamtąd dwóch starszych chłopców. Narzekali, że nie mogą dostać w księgarni „Winnetou“. Minęli Zenka i dopiero wtedy zrozumiał, o czym mówili. Ruszył biegiem za nimi:

— Czekać! — wołał — Czekać! Ja mam „Winnetou“.

lenu w Wileńskiej Fabryce Tworzyw Sztucznych. Kilometr takiej rury waży 680 kg podczas gdy rury żeliwne tej samej długości ważyłyby ok. 12 ton.

Koszule z papieru

W Szwecji zaczęto wyrabiać męskie koszule z... papieru. Oczywiście prać ich nie można, ale kosztują niewiele. Cena ich nie przewyższa ceny prania koszul zwykłych.

Na razie ukazały się koszule sportowe z tego niezwykłego materiału. Ale wkrótce będzie można kupić nawet papierowe koszule wizytowe.

Produkcja sztucznych serc

Zakłady Przemysłu Metalowego „H. Cegielski“ w Poznaniu oprócz doskonałych lokomotyw i wagonów będą w tym roku produkowały również aparaty, zwane „sztuczными sercami“. Są one potrzebne podczas skomplikowanych operacji serca. Zastępują wtedy serce człowieka.

CZĘŚCI MSZY ŚW.

Po ogólnym zapoznaniu się ze Mszą św., z jej powstaniem, celem i znaczeniem, poznajcie budowę Mszy św., aby jeszcze lepiej zrozumieć jej treść.

Msza św. składa się z trzech zasadniczych części: z części wstępnej, z właściwej Ofiary i z części końcowej.

Część pierwsza nazywa się „Msza Katechumenów“, część druga — „Msza Wiernych“ i część trzecia — „Komunia“.

Najpierw omówimy część pierwszą, czyli „Mszę Katechumenów“.

Nazwa „Msza katechumenów“ (słowo greckie) wywodzi się stąd, że w tej części Mszy św. mogli uczestniczyć ci, którzy przygotowali się do przyjęcia Chrztu św.; nazywani się katechumenami. Katechumeni po kazaniu biskupa, czyli przed Ofiarowaniem (właściwą Ofiarą) opuszczali kościół. Nie mogli bowiem uczestniczyć we Mszy św. wiernych, czyli we właściwej Ofierze.

„Msza katechumenów“ wyglądała inaczej za czasów Pana Jezusa, inaczej za czasów apostołów, a inaczej dzisiaj. Pan Jezus po-

przedził ustanowienie Najświętszego Sakramentu i sprawowanie Ofiary Mszy św., którą złożył w Wierczniku w W. Czwartek, spożyciem Ostatniej Wieczery i umyciem nóg apostołom.

Msza św. katechumenów składa się z następujących części: modlitw wstępnych i psalmów, lekcji, ewangelii, kazania i wierzę.

Według prawa mojąszego Żydzi wieczną paschalną przeplatali modlitwami i śpiewami psalmów. Pan Jezus zachował ten zwyczaj. Dlatego też i dzisiaj we Mszy św. zaraz po modlitwach (ministranturze) kapłan odmawia szereg krótkich modlitw (Kyrie, Chwała, kolekty) oraz wyjątki psalmów (introit, gradual).

Po psalmach następowało czytanie Pisma św. Zwyczaj ten do dziś został — nasza lekcja. Po lekcji czyta się wyjątek z Ewangelii (opis życia Pana Jezusa). Po Ewangelii zazwyczaj głosi się kazanie czyli wyjaśnia przeczytane we Mszy św. wyjątki Pisma św. Po kazaniu następuje wyznanie wiary czyli „Wierzę w Boga“.

PRZYGODY DARIUSZA 25

— Ale postanowiliśmy razem z Darkiem nie szukać więcej dobrowolnie guzów — powiedział Wolak i roześmiał się w głos, bo przypomniał mu się manewr Dariusza w uściskach Rowińskiego.

Roześmiała się również Marylka.

— Śmieszne to prawda? — powiedziała. — Śmieszne, że ja biorę również pod opiekę Dariusza. Ale dlatego, że przyzwyczaiłam się już uważać sprawy Darka za swoje także. Otóż my oboje nie chcemy nigdy klótni, ale bywa czasem, że zapominamy się i wyprawdzamy chłopców z cierpliwości. Czy nie robimy tak, Dariusz?

— Prawda, zawsze tak robimy — potwierdził Dariusz.

— Wobec tego nie będę się starał, abyś mnie zaczęła wyprawdzać z cierpliwości — rzekł Wolak, spoglądając w oczy dziewczynki.

— O, nie radzę wchodzić mi na odciski — zaśmiała się Marylka.

Balcerzak uśmiechnął się również.

— Czy można wiedzieć dokąd idziecie? — spytał Wolak.

— Do domu — odpowiedział Dariusz.

— Czy można was odprowadzić? — spytał Wolak.

— Z przyjemnością — odpowiedziała Marylka. — Po drodze Darek opowie wam, jak kupował u krawca to ubranie, które teraz ma na sobie.

Poszli.

— Więc słuchamy, Darku — rzekł Wolak.

— Przed wyjazdem z Poznania — zaczęła dziewczynka — mamusia postanowiła Darkowi kupić nowe ubranie. Mieliśmy tam swojego znajomego krawca. Mamusia umówiła się z panem krawcem, że przyśle do niego Dariusza, by dopasował mu jakieś dobre i ładne ubranie. Po wejściu do zakładu pyta go czeladnik, czego sobie życzy? Dariusz odpowiedział, że chce się zobaczyć z samym mistrzem. — Zajęty w tej chwili — odpowiedział czeladnik Dobrze, zaczekam, powiedział Darek.

(Ciąg dalszy nastąpi)

CIKAWY...

Z tworzyw sztucznych rury wodociągowe

Okazuje się, że rury wodociągowe można produkować również z tworzyw sztucznych. Są one 15 — 20 razy lżejsze od rur żeliwnych. Można je wykonywać w długich odcinkach i nawijać jak kable telefoniczne. Instalowanie takich rur jest o wiele prostsze. Są one również trwalsze, gdyż nie rdzewieją.

Na zdjęciu: urządzenie do nawijania gotowych rur z poliety-



KOŚCIÓŁ POLSKOKATOLICKI

CZY WIESZ, ŻE:

Kościół Polskokatolicki jest Kościołem Katolickim. Posiada wszelkie znamiona Kościoła Chrystusowego. DLACZEGO POLSKI I KATOLICKI?

Kościół Polskokatolicki prowadzi wiernych do Boga i posługuje się w liturgii zrozumiałym dla nich językiem polskim. Zachowując naukę Jezusa Chrystusa (zawartą w Piśmie św. Tradycji oraz orze-

czeniuach i uchwałach Soborów Powszechnych) cześć Najświętszą Maryję Pannę i Świętych Pańskich, uczy swych wiernych miłości do Boga, szacunku dla bliźnich i ukochania Ojczyzny.

KOŚCIÓŁ POLSKOKATOLICKI JEST KOŚCIOŁEM

APOSTOLSKIM:

Biskupi Kościoła Polskokatolickiego mają ważną sukcesję apostołską, której nie kwestionują nawet najbardziej zaparziali i fanatyczni duchowni rzymskokatolicy. Z ważności i prawdziwości sakry biskupiej w Kościele Polskokatolickim wypływa ważność kapłaństwa.

Msza św. w języku polskim i Sakramenty św. są tak samo ważne jak Msza św. odprawiana w języku łacińskim, greckim lub koptyjskim.

NA CZYM POLEGA RÓŻNICA?

Różnica polega na tym, że Kościół Polskokatolicki odrzuca dogmat o nieomyślności papieża i prymacie jurysdykcyjnym biskupów rzymskich. Tylko Bóg jest nieomyślny. Człowiek, również papież, może się mylić.

PODZIAŁ KOŚCIOŁA

Kościół Polskokatolicki w PRZEDZIALE dzieli się pod względem administracyjnym na:

- a) Archidiecezję Warszawską,
- b) Diecezję Wrocławską,
- c) Diecezję Krakowską.

KIEROWNICTWO KOŚCIOŁA
Najwyższym zwierzchnikiem Kościoła Polskokatolickiego jest Prymas.

STOSUNEK DO RUCHU EKUMENICZNEGO:

Kościół Polskokatolicki jest członkiem Światowej Rady Kościołów Chrześcijańskich, która skupia w swych szeregach ponad 430 milionów chrześcijan, a więc tyle, ile liczy Kościół rzymskokatolicki razem z obrządkami nierzymskimi na całym świecie.

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

PAN WŁADYSŁAW TALARZYŃSKI z ŁODZI list napisał do Redakcji i dał „cięta” odprowę p. Marii Wilezyńskiej. Wszystkie byloby dobrze, gdyby w tej odpowiedzi były argumenty słuszne i prawdziwe. Niestety. Z tymi bramami piekielnymi, które nie zwyciężą Kościoła rzecz ma się troszkę inaczej. Na pewno Kościoła bramy piekielne nie zwyciężą ani wszeley ludzey zapaleńey. Tylko Ewangelista pisząc o Kościele miał na względzie Kościół Chrystusowy. Czy jed-

KONKURS • KONKURS

**WYDAWNICTWO LITERATURY
RELIGIJNEJ** w Warszawie, ul. Wilcza 31 ogłasza konkurs na sprzedaż kompletu broszur składających się z:

Sakrament Chrztu Św.	a 4,50
„ Eucharystii	a 4,50
„ Bierzmowania	a 4,50
„ Małżeństwa	a 4,50
„ Pokuty	a 4,50
„ Namaszczenia	a 4,50

Cały komplet kosztuje 26 zł.—

Wśród tych, którzy zamówią w/w komplet broszur na zamieszczonym poniżej kuponie rozlosowane będą następujące nagrody:

- 1) aparat fotograficzny,
- 2) kocher turystyczny,
- 3) parasolka.

**Czytelniku! Masz szansę oprócz
książek zyskać jeszcze nagrodę!**

**Wyciąć, Wypełnić! Wysłać na
nasz adres, łącznie z przekazem
pieniężnym!**

Kupon do losowania

Zamawiam
Wysyłam przekazem zł
Nazwisko i imię
Adres

Zakończenie konkursu dn.
30 czerwca 1963 r. Decyduje data
stempli pocztowego. **Wszystkie
kuponu biorą udział w losowaniu
nagród.**

nak między Kościołem Chrystusowym, a Kościołem rzymskokatolickim można postawić znak równania, to jest zgoda inne pytanie. Połowa chrześcijan na świecie jest wręcz odmiennego zdania. Gdybyśmy byli przeświadczeni, że Kościół rzymskokatolicki jest Kościołem Chrystusowym nigdy nie narażalibyśmy się ani na prześladowanie, ani na żadną walkę. Szlibyśmy utartą ścieżką w dużym stadzie, bo to bardzo wygodnie i bezpiecznie. Ponieważ znamy Ewangelię i umiemy ją czytać i myśleć i dlatego doszliśmy do wniosku, że Kościół, który założył Chrystus miał inne cechy i inne zasady. Nie widzimy żadnego podobieństwa między Chrystusem narodzonym w tajni i pogrzebanym w obcym pożyczonym grobie, a rzekomym Jego zastępcą, skądinąd sympatycznym staruszkim Janem XXIII, zamieszkałym w Watykanie. Skoro jednak Panu Władysławowi ten Kościół odpowiada, tak jak innym buddyzm czy mahometanizm — życzymy szczęścia i radości, i wiecznego zbawienia.

PANI ANNA M. z SĘDZISZOWA list napisała spokojny, kulturalny i zadała nam kilka pytań. Odpowiadamy na pytanie pierwsze. Krzyż, o który Pani zapytuje jest używany w procesji, gdy biorą w niej udział najwyżsi dostojnicy Kościoła jak kardynałowie, prymas i arcybiskupi. Jeżeli Pani będzie kiedyś w Warszawie i odwiedzi katedrę warszawską, w której będzie celebrował ks. prymas Stefan Wyszyński, przekonana się Pani naocznie, że taki sam krzyż jest tam także używany.

A teraz, gdy chodzi o tę miłość bliźniego, czy też brak tej miłości w niektórych artykułach na łamach „Rodziny”.

Pani Anno, Pani na pewno ma siostrę czy brata, których kocha prawdziwą miłością siostrzaną. Ale gdy brat czy mąż się upije, a gdy jeszcze zrobi awanturę czy Pani z miłości zawsze zamilczy albo zawsze pochwali. Czy miłość każe zamknąć usta i oczy na błędy naszych bliźnich? Czy Chrystus, założyciel Kościoła, który głosił, że przykazanie miłości Boga i bliźniego jest największym przykazaniem w Jego Zakonie zawsze wszystkich chwalił i nikogo nie krytykował.

Czy Pani czytała Ewangelię i pamięta takie słowa Chrystusa, gdy kapłanów żydowskich i uczonych w Piśmie nazywał „grobami pobielanymi” i „plemieniem jaszczurczym”.

A czy Pani zna historię Kościoła i wie o tym, że Kościół rzymskokatolicki w ciągu szeregu lat w imię miłości bliźniego pomagał ludziom umierać. Setkom tysięcy ludzi, dziesiątkom tysięcy, którzy konali w męczarniach na stosach inkwizycyjnych. Właśnie my mamy żal i pretensje do Kościoła rzymskiego, że miłość bliźniego w ciągu wieków przekreślił. Łatwo jest milować w niedzielę z amfony i od ołtarza, ale jakże trudno tę miłość potwierdzić w codziennym życiu.

I cóż znaczą te małe przyczynki krytyczne pod adresem niektórych księży. Taka krytyka najczęściej wychodzi na dobre. Operacja choć bolesna czasami jest konieczna dla zdrowia chorego. Pani wie o tym, że często parafianie bardziej krytykują swego proboszcza niż my.

PORADY PRAWNE

Panu lekarzowi W. G.

W związku z zainteresowaniem Pana w kwestii uprawnień do korzystania z dodatkowej powierzchni mieszkaniowej. Redakcja uprzejmie informuje.

Sprawę poruszoną przez Pana w liście do Redakcji, reguluje Zarządzenie Ministra Zdrowia z dnia 18 kwietnia 1953 r. ogłoszone w Monitorze Polskim A - nr 38 z dnia 30 kwietnia 1953 r., poz. 476 w sprawie przyznawania uprawnień do korzystania z dodatkowej powierzchni mieszkaniowej ze względu na stan zdrowia.

W świetle obowiązujących przepisów powołanego Zarządzenia, uprawnienie do korzystania z dodatkowej powierzchni mieszkaniowej przysługuje tylko tym osobom, u których stwierdza się przewlekłe stany chorobowe, wymagające izolacji, bądź uniemożliwiającej wspólne zamieszkanie w jednym pomieszczeniu.

Zarządzenie Ministra Zdrowia wylicza w czternastu pozycjach różne choroby, które, po orzeczeniu Komisji Lekarskiej, dają podstawę do uzyskania uprawnień do dodatkowej powierzchni mieszkaniowej.

Z odpowiednim wnioskiem należy udać się do Komisji Opiniodawczej przy Wydziale Zdrowia P.R.N. miejsca zamieszkania osoby zainteresowanej. Komisja Opiniodawcza z kolei przesyła opinię swoją do Komisji Orzekającej, która wydaje orzeczenie pozytywne, względnie negatywne, w zależności od konkretnego stanu zdrowia i możliwości oddziaływania choroby na otoczenie osób pozostających w kontakcie z chorym.

Z uwagi na bardzo długi rejestr chorób wymienionych w cytowanym Zarządzeniu, Redakcja zaleca Panu Doktorowi osobiście zapoznać się z tekstem Zarządzenia, które może Pana zorientować w konfrontacji z obiektywnym stanem zdrowia, o realnych możliwościach. W tym celu radzimy Panu udać się do Prezydium R.N., które udostępni Panu zapoznanie się z powołanym Zarządzeniem Ministra Zdrowia.

Tyle, co pisze Zarządzenie. Z treści listu Pana Doktora należy orientować się na inne podstawy, bardzo obiektywne i słuszne, uzasadniające do żądania w/w uprawnień, lecz niestety, myśl przewodnia prawodawcy nie uwzględniła tej naturalnej potrzeby i w związku z tym pozostaje Panu tylko jedna droga, o której wyżej wspomniano. Nawet powołanie się na obiektywne warunki pracy i specyfikę wykonywanego zawodu chirurga, naszym zdaniem, nie znalazłoby uzasadnienia w przepisach cytowanego Zarządzenia Ministra Zdrowia.

Redakcja korzysta z okazji by przesłać Panu Doktorowi wyrazy głębokiego szacunku za ofiarną i trudną pracę w służbie dla ratowania zdrowia ludzkiego.

Mgr J. MIŁASZEWICZ

PAN PAWEŁ S. Z BRZEZINKI k. GLIWIC napisał list do Redakcji i zakwestionował niektóre fragmenty referatu, który został wygłoszony w Krakowie, a które ks. Lorkowski cytował w swoim artykule. Dotyczy to w szczególności wolności sumienia w Polsce międzywojennej. Wylicza później co było można robić w zakresie kultu religijnego i propagandy w Polsce przedwojennej, a czego nie można robić dzisiaj.

A więc można było jeździć do Lourdes, na Górę Św. Anny, urządzać pielgrzymki, prenumerować wiele czasopism, słuchać Mszy św. przez radio, uczyć się religii w szkole itd. To wszystko prawda. Tylko o jednym zapomniał nasz Czytelnik, że z tych niespotykanych w Europie przywilejów korzystał tylko Kościół rzymskokatolicki w Polsce — nikt więcej. A w Polsce było 8 milionów obywateli, którzy nie wspólnego z Kościołem rzymskim nie mieli. Czy wolność sumienia polega na tym, że jednym wolno wszystko, a innym niczego nie wolno. W tym właśnie sławnym okresie wolności sumienia, o którym Pan pisze, Kościół rzymski miał swego wiceministra Oświaty i Wyznań Religijnych, ks. Zongolowicza, biskupi zasiadali na fotelach senatorskich, księża byli posłami — płonęły prawosławne cerkwie i kaplice podpalane za wiedzłą i zgodą władz nie tylko przez akcje katolicką, ale nawet przez „Strzelców” — organizacje przoradawą.

Osobiście pamiętam taki moment w znanym mieście Zamościu, gdy płonęła cerkiew, a kobiety prawosławne stały i płacząc przeklinały rząd sanacyjny. W tym właśnie czasie księża Kościoła Narodowego byli włączeni po sądach i starostwach za każdą czynność kapłańską, za polską Mszę św., za chrzest, za pogrzeb itp.

W tym właśnie czasie dzieci ochrzczone w Kościele Narodowym nie miały ważnej metryki, małżeństwa były traktowane jako konkubinaty, a dawno zmarli — w czasie okupacji otrzymywali wezwanie na roboty do Niemiec, ponieważ byli nie wykreśleni z ksiąg ewidencji ludności. W tym właśnie czasie ks. Michał Zawadzki — proboszcz parafii narodowej w Bydgoszczy był skazany na 6 miesięcy aresztu „za to, że nie wierzył w diabła”, a ks. Heliodor Rogowski na rok

więzienia w Lublinie za to, że w kazaniu przytoczył wyjątek z „Beniowskiego” — utworu jednego z największych naszych poetów romantycznych Juliusza Słowackiego — „Polsko... Twa zguba w Rzymie”.

Sędzia Sądu Okręgowego w Radomiu Kaun, który jeszcze sądził długo po wyzwoleniu w motywach wyroku w imieniu Rzeczypospolitej Polski uznał, że jeden z naszych księży „jest opętany przez diabła”. Miało to miejsce w 1933 roku, a akta chyba się jeszcze w archiwum znajdują.

Trudno Drogi Czytelniku, w tej sytuacji mówić o wolności sumienia, gdy żyją jeszcze ludzie, którzy za swoje przekonania polskokatolickie byli szykanowani, wyrzucani z pracy, a często bici i maltretowani.

Gdy chodzi o słuchanie Mszy św. przez radio, to wydaje mi się, że nawet w świetle Ewangelii, a nawet teologii rzymskokatolickiej jest to „luksus”, który na pewno na uświęcenie słuchacza nie wpływa i do zbawienia nie pomaga. Wyobrażam sobie jak np. Pan Paweł po dobrym śniadaniu leży sobie na tapczanie i słucha jak ksiądz przez radio Mszę św. po łacinie śpiewa. Ale bez tego na pewno żyć można i duszę nieśmiertelną zbawić. Ilu ludzi rocznie wyjeżdża z Polski do Lourdes nie wiem, ale wiem na pewno, że od czasów Mieszka Pierwszego do Rydza-Śmigłego włącznie nigdy tylu Polaków nie wyjeżdżało za granicę, jak teraz. A że nie wszyscy chcą jechać do Lourdes aby się modlić i leczyć, bo niektórzy wolą jechać do Warny i Złotych Piasków, nawet duchowni, to jest inna sprawa.

Jeżeli chodzi o naukę religii w szkołach państwowych tam, gdzie Kościół oddzielony jest od Państwa w tych krajach nie ma religii w szkole jako przedmiotu. W szkołach państwowych w Stanach Zjednoczonych A.P. ani w katolickiej Francji, w krajach, które od dawna są znane z wolności sumienia nikt nie naucza religii w szkole, a obywatele nie mają do Państwa żadnej pretensji. Gdy chodzi o pielgrzymkę na Górę Św. Anny, gdyby Pan Paweł miał jakiegokolwiek trudności podejmujemy się te trudności usunąć.

Procesje i pielgrzymki o charakterze religijnym należy odróżniać od manifestacji politycznych — pokazu sił z okrzykami włącznie. Pod osłoną feretronów i sztandarów kościelnych często kryje się tęsknota za konkordatem, za majątkami kościelnymi i za władzą ziemską.

Czy można się dziwić, że Władze Państwowe nie zawsze w tej sytuacji udzielają pozwolenia. Tyle na razie. Pozdrawiamy serdecznie.

Anekdoty

Kiedy Graham Greene, współczesny pisarz angielski, przebywał w Paryżu, postanowił zamieszkać w prywatnym domku, aby mieć ciszę i spokój przy pracy. Po dłuższych poszukiwaniach znalazł wymarzony pokój. Przed wynajciem właściciel domu przeprowadził z Greenem następującą rozmowę.

— Czy ma pan małe dzieci?
— Nie, o ile wlem.
— A psa, kota lub papugę?
— Nie podobnego.
— Dobrze. Pan rzeczywiście nie ma nic takiego, co mogłoby zakłócić spokój w domu.
Wówczas Greene pokławił w zamyśleniu głową i powiedział:
— Widzi pan, mam wieczne pióro... Ono trochę drapie przy pisaniu na papierze!...

★

Gdy Jan III, król szwedzki, zobaczył przy swoim synu Zygmuncie III Wazie, królu polskim, bardzo bogato ubranych senatorów — zawołał:

— Gdzie jest mój syn Zygmunt, tam widzę samych królów.

★

Gdy Andrzej Tęczyński (zmarł ok. 1589 r.), późniejszy wojewoda krakowski, jako 17-letni młodzian zganił na radzie królewskiej zdanie senatorów brodatych (broda była znakiem powagi), śmiano się z niego jako z gotowasa. Toteż na następną radę przyprawił sobie brode i wasy, i kiedy zaczęto radzić, Tęczyński potrząsnął brodą, wołając: „Brodo, mów!” Potwórzyłszy to kilka razy, oderwał i odrzucił ze wzgardą brode i zaczął tak poważnie i rozsądnie mówić, że obecni zawołali:

— Siedź między nami, bo ci Bóg dał mimo młodych lat — stary rozum.

★

Mark Twain znany był z tego, że nie dbał o zewnętrzną formę stosunków towarzyskich. Pewnego razu złożył wizytę sąsiadom bez krawata i w brudnym kołnierzyku. Po powrocie żona zrobiła mu gorzkie wymówki. Wówczas Twain zapakował do pudła krawat i czysty kołnierzyk i wysłał do sąsiadów. Do przesyłki dołączył list, w którym napisał:

„Podczas wizyty u państwa byłem bez krawata i w brudnym kołnierzyku. Przesyłam więc krawat i świeży kołnierzyk. Proszę oglądać je przez pół godziny, potem zaś odesłać do mnie z powrotem...”

★

Pewna śpiewaczka powiedziała do swoich znajomych:

— Wyobraźcie sobie, że za naukę śpiewu zapłaciłam 5000 dolarów.
— Wobec tego — zawołał jakiś młodzian — muszę przedstawić pani mego brata.
— Czy on jest impresario?
— Nie, jest adwokatem. Pomoże pani odzyskać te niepotrzebnie stracone pieniądze...

★

Franciszek I, król francuski (1494-1547), wielki amator polowań, zabłądził na łowach i postanowił zanczować u węglarza. Ten, poznawszy króla, odradzał, ponieważ na dom jego często napadali rozbójnicy. Mimo to król został. W nocy rzeczywiście przyszli trzej rozbójnicy, którzy zabrali królowi wszystkie kosztowności. Gdy przyszło do podziału zrabowanych klejnotów i nie mogli się pogodzić, król poradził, aby temu, który najgłośniej zagra na trąbce myśliwskiej, dać największą część. Rozbójnicy, nie podejrzewając podstęp, zastosowali się do rady króla. Tymczasem na głos trąbki zbiegli się myśliwi i pojмали ich.

M A J

CHCĘ BYĆ PIĘKNA

SŁOŃCE I PIEGI

Co roku ten sam kłopot? Co roku o tej porze słyszysz pytanie: „co robisz, żeby pozbyć się piegów?” I choć ten temat poruszałam kiedyś, dziś znowu do niego wróć. Piegi powstają przeważnie u osób posiadających bardzo wrażliwą skórę, szczególnie u blondynek i rudych. Spowodowane są zbyt intensywnym nasłonecznianiem skóry, gdy produkcja pigmentu (barwnik skóry) nie nadąża za nagłym zapotrzebowaniem — w wyniku czego powstają ciemne plamy.

Osoby obdarzone jasną, wrażliwą skórą winny chronić twarz przed gwałtownym opalaniem odpowiednimi ochronnymi kremami. Odpowiednie dawkowanie promieni słonecznych uodparnia skórę na działanie słońca).

Radykalnych środków, po których piegi znikają raz na zawsze nie ma! Piegi znikają dopiero wówczas, gdy przestają być problemem — to znaczy na starość. Podam więc tylko parę domowych przepisów, które okresowo usuwają lub wybielają piegi.

1) Codziennie wieczorem naierać twarz ociecionym wodą (pół na pół) sokiem z cytryny.

Sposobu tego nie mogą jednak stosować osoby mające cerę szczególnie suchą i podatną na luzczenie się.

2) Zalać wrzątkiem świeżą, drobno posiekaną nać pietruszki. Po odciedzeniu i ochłodzeniu płynem tym zwilżać piegi. Sok pietruszki działa wybielająco.

3) Świeżym sokiem z surowej marchwi, przez dłuższy czas 2 razy dziennie, przemywać twarz. Piegi nie zbieleją, ale cała skóra nabierze „opalonego” odcienia i piegi będą mniej widoczne. W czasie tej „marchewkowej” kuracji bardzo jest wskazane codzienne wypijanie szklanki surowego soku z marchwi.

4) Okłady z kwaśnego mleka, lub maślanki działają na skórę wybielająco. Co drugi dzień zwilżoną zsiadłym mlekiem ligninę okładać twarz na 20-30 minut.

5. Dwie łyżki 3% wody utlenionej rozmieszać z łyżką (płaską) maki kartoflanej. Papką tą obłożyć miejsce pokryte piegami, po wyschnięciu papki umyć twarz ciepłą wodą i wklepać w skórę trochę jadalnej oliwy, lub kremem odżywcym.

Najważniejsza rada dla osób, które martwią się piegami — to nie stwarzac z tego kompleksu. Pamiętajmy, że piegi są przejawem młodości! A poza tym, jak twierdzą mężczyźni, dodają nawet uroku niewieściej buzi!

BEATA

N	12	IV. po Wielkanocy, Pankracego
P	13	Serwacego, Roberta
W	14	Bonifacego, Dobiesława
S	15	Zofii
C	16	Ubalda, Andrzeja
P	17	Sławomira, Paschalisa, Weroniki
S	18	Wenancjusza, Feliksa

Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej, Redaguje Kolegium, Redaktor Naczelny — Ks. mgr Tadeusz Gorgol, Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 21, Tel. 8-97-84; 21-74-98. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-14-147290 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrocie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy. Cena prenumeraty: kwartalnie — zł 26, półrocznie — zł 52, rocznie — zł 104. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmujemy na okresy kwartalne, półroczne i roczne. Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa, Konto Nr 1-14-147290. Czytelnicy poza granicami kraju mogą zamawiać tygodnik „Rodzina” za pośrednictwem: Przedsiębiorstwa Eksportu i Importu „Ruch” Warszawa, ul. Wilcza 46; prenumerata roczna dla Europy wynosi: 7 \$, 19,70 DM, 23,40 NF 1.13,6 L; prenumerata roczna dla St. Zjednoczonych i Kanady 7 \$; prenumerata roczna dla Australii 2.10,5 £A i 20,4 £E.

GLIWICE NA ZAWSZE POLSKIE



Historia wyryła temu miastu bogatą przeszłość. Niemal na każdym kroku przybysz odnaleźć tu może ślad kultury słowiańskiej, nie mówiąc już o bogatych zachowanych po dziś dzień w miejskich archiwach dokumentach, opiewających intensywną walkę ludu ziemi gliwickiej o wolność i złączenie z polską Macierzą.

O dacie powstania Gliwic historycy mówią różnie. Znajduje się jednak akt, który w swych kronikach mówi o Gliwicach jako parafii już w 1286 roku.

Spacerując po starych uliczkach miasta napotykamy na mury obronne z XV wieku na cmentarzu. Przy ulicy Koziełskiej stoi figurka Chrystusa z 1490 roku.

Z ksiąg ławniczych dowiedzieć się można, że już w 1648 roku mówiono tu językiem polskim i w polskim języku są pisane nazwiska ławników jak również księgi cechowe chcwane skrycie przez Niemców, pisane były po polsku. Zawierają one wiele polskich nazwisk ówczesnych rzemieślników.

Długa i krwawa jest historia walki ludu ziemi gliwickiej o powrót do Macierzy. Wreszcie po latach spełniły się marzenia śląskich bojowników i Gliwice na zawsze wróciły do Polski. Dziś należą do najpiękniejszych miast polskich na ziemiach zachodnich. Liczące dziś ponad 150 tysięcy mieszkańców stało się po Warszawie największym ośrodkiem kadr inżynieryjno-technicznych. Zmieniło się oblicze miasta. Powstało wiele nowych dzielnic mieszkaniowych. Niedługo już jest czas gdy w centrum Gliwic powstaną nowe 14-piętrowe wieżowce. Tylko w ciągu 2 lat oddano do użytku mieszkańców 2 650 nowych izb mieszkalnych i odremontowano około tysiąca starych domów.

ZBIGNIEW MARSKI



Ze starych szpargałów

BAŃKI MYDLANE

Są przedziwne zajęcia, skromne i blade, które lepiej niż bromy i miłowny umiały pokoleniom naszych ojców i dziadków uspokajać nerwy i podtrzymywać równowagę ducha. Takim zajęciem bywała bezpretensjonalna muzyka na niemieckich instrumentach, przeróżne kobiece „robótki”, pasjanse, niewymyślne gry domowe i przez entuzjastów nauk przyrodniczych przerabiane rozmaite, chemiczne czy fizyczne, doświadczenia. Wśród tych ostatnich pod względem estetycznym, na pierwszym miejscu, trzeba postawić — „bańki mydlane”. Od wieków znane, od dzieciństwa doświadczane tyle walorów malarskich posiadające — zwykle bańki mydlane. Czy wiecie, że wielu słynnych uczonych lubiło się bawić bańkami? Tak np. Tyndall (znany fizyk irlandzki z końca XIX w.) uważał je za najmiłszą wypoczynkową rozrywkę.

Nie wstydzmy się i my poświęcić czasem cicha godzinę wypoczynku tej prześlicznej, uludnej zabawie. Spróbujmy zainteresować nią nasze dzieci. Zabawa spokojna, miła, nietrudna i mająca wychowawczo-estetyczne walory.

Najpierw podam najprostszą receptę na przyrządzenie „płynu bańkotwórczego”. W ciepłej wodzie rozpuszczamy tyle zwykłego mydła, ile się da rozpuścić. Przez płócienną szmatę przefiltrowujemy ten roztwór, by wyciągnąć z płynu nierozpuszczone cząstki mydła. Do tej mydlanej wody dolewamy gliceryny, tyle, by stanowiła 1/5 część mieszaniny, dobrze razem wszystko wzmieszamy i odstawiamy na kilkanaście minut. Gdy utworzy się na powierzchni cieczy biały nalot zdejmujemy go łyżką, a klarowny płyn zlewamy do butelki. Jest już gotów do doświadczeń i przez długi czas nie traci swych bańkotwórczych właściwości.

Najpospolitszym „narzędziem” do wytwarzania bańek jest zwykła słonka rozcięta na cztery płatki na końcu, które odgina się na boki. Może też być rurka, oczywiście grubsza od słonki, z papieru, podobnie spreprowana na jednym końcu. Rurka papierowa wytwarza dwie bańki i bardzo barwne.

Najprostsze doświadczenie to u moczenie poszerzonego końca słonki, czy rurki w cieczy mydlanej i powolne wdmuchiwanie powietrza drugim końcem rurki. Bańka powoli rośnie, nabiera tęczy barw i lśni pięknie. Jeśli chcemy zabawę bardziej skomplikować przy pomocy drucików możemy otrzymać bańki o różnych kształtach jak widać to na załączonych zdjęciach. Pamiętać przy tym należy, że wszelkie druciki — podpórki dla bańek muszą być też zamoczone w cieczy. Na zakończenie podam eksperyment trochę trudniejszy. Z wygładzonego staniolu wycinamy

krażek o średnicy 8-10 cm, a z krażka pięciolistną rozetę (zdzj. 3). Między listkami wycinamy otwór i równy prawie powierzchni korka umieszczonego na talerzu. Rozetę zwilżamy cieczą bańkową i kładziemy na korku. Płatki jej opadną ku dołowi. Nad tym „rustowaniem” zaczniemy z bliska wdmuchiwać bańkę tak, żeby zetknęła się z korkiem i płatka mi rozetę. Gdy uniesiemy słonkę bańka dźwignie płatki i utworzy jakby kwiat srebrnotęczowy. Podany przykład jest wyjściem dla własnej pomysłowości. Do „doskonałości” dojść tu nie trudno, a radęś jaką wywołują udane pokazy wśród dzieci, najmiłsza nagroda niedługich zreszta i nieuciążliwych prób.

M. A.

